

# Dekada Literacka

Kraków ■ 16 VII — 31 VII 1991 r. ■ Dwutygodnik ■ Nr 26 ■ Cena 1500 zł

Szaruga o nowej mapie Europy ● Szuba o Whitmanie ● dwa x Hrabal ● Poezja  
● Recenzje ● Varia ● Felieton

## NOWA MAPA EUROPY

Leszek Szaruga

Miliony was. Nas mrowie, mrowie,  
mrowie.  
Sprawdźcie, zmierzcie się z nami!  
Tak, my — Azjaci! my —  
dzicy Scytowie  
Z pożądanymi skośnymi oczami  
(Aleksander Blok „Scytowie”)

Wyobraźmy sobie film, którego treścią są zmiany politycznej mapy Europy. Ten „stary kontynent” jak go czasem z pewną nostalgiją nazywają Amerykanie, w ciągu dwudziestu stuleci po Chrystusie przekształcał się wielokrotnie, zaś jego mapa polityczna, gdybyśmy przemianę na niej pokazali w szybkim tempie, zmieniałaby się jak obraz w kalejdoskopie. Zachodnie jej krańce opłanowane były przez potęgę Arabów, wschodnie i południowe przez stulecia opłanowane były przez imperium Turków. Ogromna terytorialnie Polska zapadła się nagle w nicłość by się z niej później wynurzyć, znów zniknąć i wreszcie po kolejnym powrocie na mapę ulec przesunięciu na zachód. Niemiecka Rzesza sklejana mozolnie z drobniejszych państw i państewek, pulsowała, przesuwała swe granice, aż wreszcie przekształciła się w Republikę Federalną czekającą pół wieku na połączenie ze zdominowanym przez Sowietów terytorium wschodnim. Spory ruch obserwujemy też na południu, gdzie mające niegdyś być państwowy Serbia czy Macedonia dziś zniknęły w granicach innych krajów i być może niebawem wynurzą się na powierzchni z powrotem. Wielkie Księstwo Litewskie połączyła unia personalna z Polską, pochłonięte zaś potem przez wielkie cielsko Rosji wynurzyło się z niebytu na krótką pauzę historii międzywojennej jako niepodległa republika, by znów zostać pożarte. Dotyczy to i innych krajów Północy: Estonii i Łotwy. Nad wszystkim tym zaś płynie po niebie Atlantyku księżycowa Islandia unosząc na swej powierzchni najstarszy bodaj parlament świata — wyspa, która jako jedyny bodaj kraj w Europie nie posiada żadnych zatargów granicznych z sąsiadami. Ale też i pod powierzchnią tych procesów możemy obserwować pewną utajoną jakby dynamikę, której jednym z wyrazów są marzenia o niepodległości Ukrainy czy Białorusi, a choćby i — dlaczego nie? — na podobnych marzeniach ufundowana walka Irlandczyków czy Basków. Podobnych przykładów można odnaleźć więcej i myśleć, że tak skonstruowana opowieść filmowa której bohaterami byłby kolory oznaczające terytoria państwowe, więcej by nam powiedziała o naszej współczesności niż cała biblioteka opracowań uczonych historyków.

Używam tu, odpowiadającego zaimkowi osobowemu „my”, zaimka dzierżawczego: „naszych” — to znaczy czyj? W czym imieniu zabieram tu głos? Kto chciałby się dziś do tej wspólnoty wyrazić w formule gramatycznej przynależności? Jeszcze kilka lat temu, gdy w czasie wieczoru au-

torskiego w Berlinie spytałem publiczność o to,

### jakie kraje europejskie położone są między Polską a Rosją?

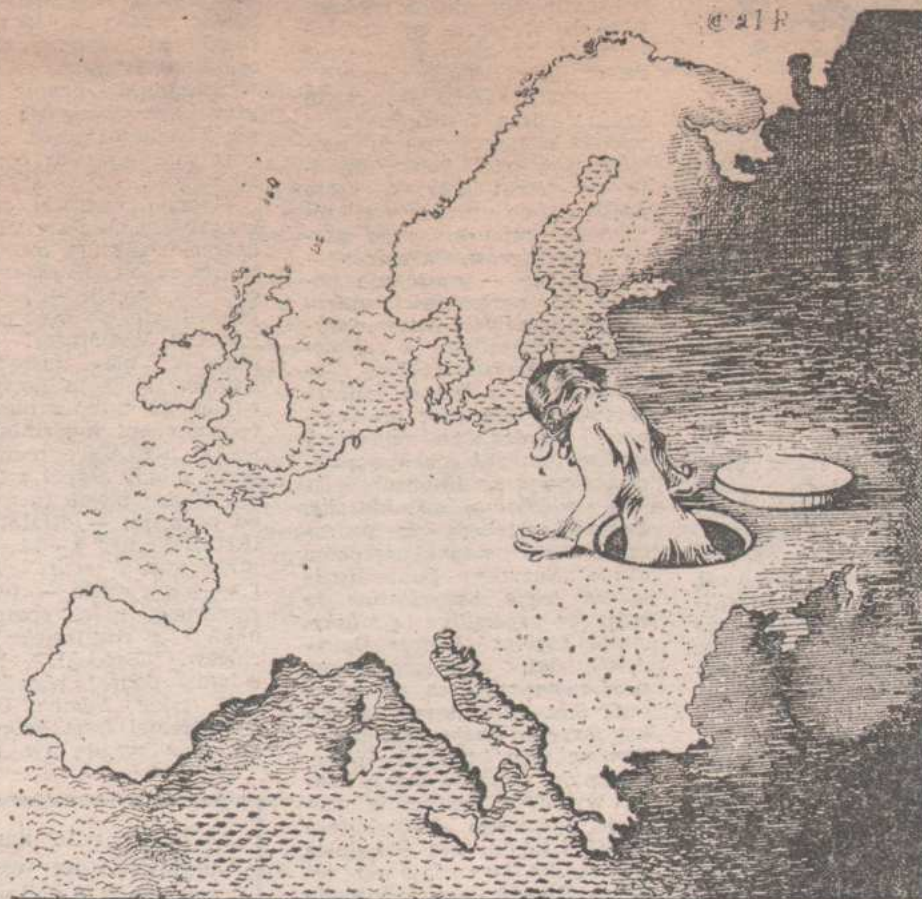
w sali zaległa pełna zdziwienia cisza. Działo się to w końcu nie gdzieś w Afryce, gdzie te sprawy nie muszą być znane, lecz w kraju europejskim, z którego historią najnowsza związane są nie tylko losy Litwy, lecz także Ukrainy: bardzo to znamienne wydarzenie, interesujący przyczynek do dyskusji o stanie europejskiej samoświadomości. Nic więc dziwnego, że nawet dzisiaj niektórym politykom niemieckim zdarzają się wypowiedzi na temat dobrego sąsiedztwa Niemiec ze Związkiem Sowieckim. Innym przyczynkiem do tej dyskusji, równie charakterystycznym, jest oświadczenie

duzo powikłana, niejasna i dość enigmatyczna. Gdy w drugiej połowie lat siedemdziesiątych powstał w Moskwie niezależny almanach literacki „Metropol”, jego autorzy podkreślali, że pragną przede wszystkim udowodnić, że kultura rosyjska ma głębokie europejskie korzenie. Z drugiej jednak strony w poemacie Aleksandra Błoka „Scytowie” odczytamy dramatyczne wyzwanie wobec tejże Europy, wyzwanie, które można wyłożyć w nieprzekładnym na język polski słowie niemieckim *Hassliebe* — to uczucie zresztą jest chyba Rosjanom przez Niemców odwzajemniane i stanowi o specyfice stosunków łączących obie nacje.

O tym, jak dalece

### różnią się poziomy życia w różnych regionach tego kontynentu

mającego się przekształcić zgodnie z formułą de Gaulle'a w „Europę ojczyzn”, opowiada stara anegdota o dwóch dziennikarzach — moskiewskim udającym się do Paryża oraz paryskim jadącym do Moskwy: obaj przypadkiem wysiedli w Warszawie i obu się wydało, że oto właśnie dotarli do celu. Ale ta anegdota ma drugie dno i warto mu się przyjrzeć. By to jednak uczynić, należy powrócić do



Rys.: ALEKSANDER PIĘNIAK

pewnego rosyjskiego poety, który w czasie konferencji w Tybindze w 1990 roku — poświęconej perspektywom Europy — wygłosił mowę na temat mownych podstaw historycznych dialogu rosyjsko-niemieckiego: przykładem miała być postawa carycy Katarzyny II wobec Prus; przykład o tyle niefortunnie dobrany, że urodzona w Szczecinie Katarzyna po prostu była Niemką, z czego sobie młody Rosjanin nie zdawał sprawy. Przytaczam te przykłady po to jedynie, by zdać sprawę z faktu, że to, co się określa terminem „świadomość europejska”, jest sprawą bar-

upowszechnianego przez znakomitego czeskiego pisarza Milana Kunderę mitu „Europy Środkowej”, zupełnie innego niż ten, który owemu pojęciu przydaje dziewiętnastowieczna historia niemiecka. Mit ten powiada tyle, iż w przestrzeni określonej przez Kunderę Europą Środkową — z której czeski autor wyrzucił zarówno Rosję, Białorusi i Ukrainę, jak i Niemcy — przechował się zespół wartości zagubionych zarówno na Wschodzie i na Zachodzie, a który mógłby okazać się czynnikiem pośredniczącym, pomagającym odnaleźć zagubiony język utraconej w koń-

cu XVIII wieku wspólnoty europejskiej. W tym mieście, wyrażającym tęsknotę do zagubionej jedności kultury łacińskiej, odnaleźć można przekonanie, że właśnie Europa Środkowa mogłaby być terenem spotkania, na którym możliwe jest dokopanie się wspólnych źródeł. Mit Kundery został dość ostro potraktowany przez Josifa Brodskiego, poetę, który swą tożsamość określa w bardzo wielu różnych płaszczyznach, który jednak przywiązany jest do niepodważalności dla europejskiej Rosji. Dyskusja na ten temat można oczywiście toczyć bez końca, zaś zakreślanie granic samej Europy czy tylko Europy Środkowej zależeć będzie od osobistych doświadczeń, wychowania i wierzeń. Jedno wszakże w tym wszystkim wydaje się ważne: to, że musimy odnaleźć taką stację w środku Europy, która łączyć będzie owe indywidualne doświadczenia i wierzenia. Nie musi to być Warszawa — być może lepiej dla nas będzie, jeśli wysiadziemy w Pradze lub Budapeszcie, w każdym razie jednak — jestem o tym głęboko przekonany — właśnie gdzieś na tym obszarze mamy do czynienia z doświadczeniem łączącym Wschód i Zachód kontynentu. Przybysze ze Wschodu pomyślą, że już dotarli na Zachód, zachodni podróżnicy będą przekonani, że już są na Wschodzie. Obszar ten łączy niewątpliwie jedno — to, że w ostatnich dziesięcioleciach potrafili w imię obrony wartości systemu demokratycznego, doprowadzić pokojowymi środkami do zalamania sowieckiego totalitaryzmu. I choć Zachód zwracał w tym procesie uwagę przede wszystkim na działalność spektakularną — „Solidarność” czy „Karty 77” — to przecież nie ulega wątpliwości, że we wszystkich tych trzech krajach sukces opozycji byłby niemożliwy bez powszechnego, choć często z różnych przyczyn utajonego, poparcia społecznego.

Wiemy o sobie wzajemnie istotnie niewiele. Więcej: boimy się siebie. Przeciętny zjadacz chleba z Zachodu drży myśląc o wzroście podatków na pomoc dla Wschodu, jego wschodni odpowiednik obawia się, że jego świat zniknie w czeluściach przepastnych portfeli zachodnich kapitalistów. W istocie mamy tu do czynienia ze zminiaturyzowanym modelem konfliktu między bogatą Północą i biednym Południem. I rzeczywiście: wraz z oddaleniem dominującego dotąd konfliktu ideologicznego między totalitarnym Wschodem i demokratycznym Zachodem, na plan pierwszy wysuwa się

### sprawa napięć między biednymi i bogatymi

Wszyscy przy tym zdajemy sobie sprawę z faktu, że jakieś wyjście — jeśli chcemy ustalić ideę wspólnoty europejskiej — musi się znaleźć. Wszyscy też wiemy, że jedyną drogą w tym kierunku jest odbudowanie na Wschodzie rynku. Rynek jednak kosztuje, nie powstaje z niczego, może funkcjonować jedynie w oparciu o inwestycje, a inwestować może jedynie Zachód. Zarazem jednak istnieje lęk przed takimi inwestycjami, obawa przed tym, że włożone pieniądze po prostu przepadną tak, jak przepadły kredyty ładowane w poszczególne państwa komunistyczne w latach siedemdziesiątych. Z kolei kraje postkomunistyczne również bardzo ostrożnie podchodzą do sprawy rekonstrukcji rynku, obawiając się, często nie bez racji, że będą przez inwestorów zachodnich traktowane tylko i wyłącznie jako rezerwuwar taniej

# Nowy Orwell czyli gry i zahawy rajców miejskich

Elżbieta Morawiec

Wszyscy pamiętają, czym zajmował się bohater powieści „1984” George’a Orwella. Przypomnijmy jednak — na wszelki wypadek — otóż dostosowywał on (wraz z wieloma innymi) historię — czyli to, co zdarzyło się w przeszłości — do potrzeb chwili bieżącej, usuwając z gazet, książek, płócien etc. — niewygodne nazwiska, „nieśluszne” poglądy, daty i zdarzenia. W tzw. praktyce historycznej robili to przez całe dziesięciolecie uczniowie i wychowankowie „nowej wiary”, uczniowie i wychowankowie jedynie słusznej ideologii. Także w PRL. Dziś, w wolnej, zmierzającej ku pluralizmowi i demokracji Polsce w tę grę grają wybrani demokratycznie rajcy miejscy „królewskiego stołecznego miasta Krakowa”. Batalion oczyszczaczy historii pod nazwą Komisji do Spraw Nazewnictwa Ulic, Placów, Pomników ruszył do walki parę miesięcy temu i oto już mamy zdumiewające skutki jego działalności. Tym razem skreśleniu z pamięci społecznej ma ulec wszystko, cokolwiek kiedykolwiek trąciło „lewicowością”, komunizmem, socjalizmem. Bez taryfy ulgowej! Hajze na Majakowskich! Hajze na Polewków! Zaden Waryński się nie ostanie.

Bóg strzeż, żem w porę z rajcowania zrezygnowała i złożyła mandat. Ale zanim to zrobiłam — w rozmowie z Antonim Dawidowiczem, szefem wyżej wymienionej komisji — przestrzegałam przed pochopnymi decyzjami, jako że zbulwersowała mnie intencja zmiany nazwy ul. Ignacego Fika. Nie pomogło. Ulicę — o czym można było przeczytać w prasie — przemianowano na „Józefa Mackiewicza”. Wielki to pisarz, tylekroć niesłusznie krzywdzony, pomawiany o kolaborację, ulica z pewnością mu się należy, ale dlaczego kosztem

Ignacego Fika? Otóż dlatego, mieszczańskie krakowianie, że Fik był przed wojną: komunistą, wybitnym krytykiem o marksistowskim nastawieniu. Zginął rozstrzelany na Montelupich (jego los podzieliła żona Helena, która dobrowolnie poszła za mężem i zmarła w Oświęcimiu) w r. 1942. Osierocił jedyną córkę, dziś wybitnego krytyka (autorkę „Kultury polskiej po Jałcie 1945—

tego, że był członkiem partii komunistycznej był Adam Polewka? Otóż, łaskawi panowie rajcy — wielkim miłośnikiem Krakowa („Igrce w Barbakanie”, jak sądzi, nie z przyczyn politycznych grywano dorocznie podczas Dni Krakowa), współtwórcą wspaniałego międzywojennego „Cricot” Józefa Jaremy. (Uwaga! Cały ten „Cricot” — był zdecydowanie komunizujący —



1980”), działaczkę opozycji, współpracownicę Komitetu Prymasowskiego, Martę Fik. Jeśli już względy politycznej normalności do rajców nie przemawiają — może by przynajmniej względy sprawiedliwości i ludzkiego taktu? Ten sam przypadek — „skazany na niepamięć” za lewicowość — dotyczy Adama Polewki, ojca wybitnego scenografa i dyrektora (mianowanego już w wolnej Polsce!) Teatru „Groteksa” — Jana Polewki. Kim — oprócz

czym prędzej trzeba go wziąć pod Orwellową lupę! Nigdy dość czujności). Skazać na zapomnienie: Marię Jaremę, Jonasza Sterna, Katarzynę Kobro, Władysława Strzebińskiego — tutti quanti — komunistki! Należy się też uważnie przyrzeć przeszłości niedawno zmarłego Tadeusza Kantora — wszak miał konszachty z Jaremiąnką. Czekają na swoją kolejke: Tadeusz Zeleński-Boy — autor „Piekła kobiet”, zwolennik aborcji, oczywiście — Ju-

lian Przybós i wielu, wielu innych. Ironia jest bezsilna, złośliwość także. Ale jak przemówić do ludzi, którzy nie mają poczucia historii, którym pojęcie wolności — kojarzy się li tylko ze zmianą znaku obowiązującej ideologii? Te swoje ponad 20 lat przeżyłam w PRL. Wiem, kiedy budowano Nową Hutę i dlaczego ulicom nadawano takie, a nie inne nazwy. Nie będę się wyklócać o ul. Demakowa ani aleję Planu 6-letniego. Ale — na Boga! — Majakowski? Komunikuję rozpedzonym rajcom miejskim, że poza poematem „Dobrze” był autorem wspaniałych futurystycznych wierszy, twórcą „Lazni” — dramatu, który sam jeden wystarczyłby mu na „spodnie z brązu”, dramatu, od którego inscenizacji (Łódzki Teatr Nowy) rozpoczęła się m.in. październikowa „odwili” w kulturze polskiej. Był człowiekiem, który zapłacił — jak nasz Witkacy — samobieżną śmiercią w r. 1930! — za zgłębienie „tajemnicy totalitaryzmu”.

Poczynania rajców miejskich nie są ich prywatną sprawą. Nie jest ich prywatną sprawą — poprawianie historii, zwłaszcza jeżeli dokonuje się w ramach jednej, nazwijmy rzecz po imieniu, zdumiewającej opcji: endecko-piłsudczykowskiej! (Marszałek się w grobie wawelskim przewraca). Bez mała wszyscy funkcjonariusze ostatniego rządu II RP otrzymali swoje ulice. Plus legion świętych spod nikomu nie znanego znaku, ale jakos, dziwnym trafem — nie doczekaliśmy się ulic wielkich ludzi kultury — Witolda Gombrowicza, Andrzeja Bobkowskiego, Floriana Czernyszewicza.

Ignorancja i ciemność, ciasny nacjonalizm i szowinizm polityczny — nie da się inaczej określić poczynania Komisji ds. Nazewnictwa Rady Miejskiej. Gwoli nauki „europejskości” — szanownym rajcom przypominam, że Francuzi za wszelką cenę starają się zrozumieć Louisa Ferdinanda Céline’a autora „Podróży do kresu nocy”, ale także książki straszliwej, rasistowskiej, antysemitkiej „Bagatelle pour la massacre”, że Norwegowie — jak dotąd — nie wyrzekli się Hamsuna — noblisty, ale i kolaboranta...

## Co nowego w prasie?

Mamy za sobą pierwsze półrocze 1991 roku i zauważalną gołym okiem „nowością” są zmiany cen niektórych tytułów — minimalne prasy codziennej, bardziej widoczne wśród wysokonakładowych tygodników, np. „Przekrój” zdrożał z 3 do 4 tysięcy złotych. Wypada się zastanowić, czy istnieje jakaś górna granica możliwych podwyżek cen prasy, książek, tego wszystkiego, co potrzebne jest uboższej coraz bardziej inteligencji (i nie tylko). Może — jeśli górnicy mają swoje deputaty węglowe, kolejarze darmowe bilety, a wojsko tzw. sorty mundurowe — czas pomyśleć o ekwiwalencie dla nauczycieli, pisarzy, pracowników nauki, dziennikarzy — w postaci darmowych egzemplarzy ulubionych pism czy niezbędnych do pracy książek.

Mimo wakacji w prasie nie widać „sezonu ogórkowego” — toczą się nadal zażarte dyskusje o problemie aborcji, wiele ostatnio ukazało się mądrych i wyważonych wypowiedzi na ten temat, jak i w kwestii nowej sytuacji i odmiennych zadań Kościoła w Polsce. Drugim tematem dyluznym — obok komentowania bieżących wydarzeń politycznych — jest omawianie stylu dialogów, jakie prowadzi prezydent ze społeczeństwem. W kwestii powyższej warto przytoczyć fragment felietonu Jerzego Pilcha (TY-

GODNIK POWSZECHNY nr 27.) dotyczący spotkania Lecha Wałęsy z pracownikami Polfy: „Pozornie był to dialog, ale też ze względu na całkowite abstrahowanie partnerów od sensów, na zupełne ignorowanie argumentacji, były to dwa monologi, dwie pieśni, w których nie tyle forma co treść była ważna. Rytm i melodia. Była to klasyczna rozmowa poddanego z władcą, w której wszelkie wszystkie klasyczne szwy zostały rozprute a treści przenicowane. Poddany miast złożyć pokłon i dziękczynnie z matczyną surowością przywołał do porządku Wodza Naczelnego. A więc karnawał, nie miejsce pracy, nie świetlica zakładowa w Polfie, ale arena niecodziennych igrzysk. Była to zarazem rozmowa kobiety i mężczyzny po prostu, bo przecież wszelkie tak istotne i tak decydujące role społeczne stawały się nieważne, ważne stawało się to, co pierwotne i to, co elementarne. Ona mówiła do niego jak do chłopca, co znowu przepuścił wyplatę, a On widząc, że nie ma na tę babę rady, bliski był tego, by trzasnąć drzwiami i ciche dni otłosić. Ciche dni z narodem”. Sądzę, że ostatnimi czasy wielu czytelników krakowskiego pisma zaczyna jego lekturę od felietonów Pilcha, tak jak dawniej rozpoczynało czytanie od tekstów Kisielea.

W PRZEGLĄDZIE TY-

GODNIOWYM (nr 27.) znajdziemy dwie interesujące publikacje na temat rynku książki w Polsce i kondycji oraz planów „przystosowawczych” wielkich (i jeszcze państwowych) oficyn wydawniczych. W pierwszej pt. „Literatura za złotówki” zespół dziennikarzy bada sposoby dystrybucji książki w naszym kraju oraz przeprowadza wśród księgarzy pięciu największych miast Polski ankietę na temat książek, które najlepiej się sprzedaje i które mogą pretendować do miana bestsellerów. Wreszcie — wydaje się — następuje powrót do normalności: dobra literatura powoli zaczyna wypierać „czytadła” — „Księgarze z Gdańska i Gdyni sygnalizują lekki spadek zainteresowania literaturą sensacyjną. Twierdzą, że czytelnicy szukają czegoś spokojniejszego”, sięgają po literaturę piękną, zwłaszcza po klasykę. Dobrze sprzedają się podręczniki do nauki języków obcych. Nazwisko Pawła Huelle na liście bestsellerów to zapewne specyfika gdańska. Autor (debiut „Weiser Dawidek”) jest gdańszczaninem, promowanym przez spotkania autorskie. Ale nawet tutejsi księgarze są zaskoczeni popytem na jego książkę”. W cytowanym artykule starzy i nowi wydawcy krytycznie oceniają głównego dystrybutora książki, jakim jest Składnica Księgarska (sprzedaje np. jedynie 10—20 proc. nakładu książek Wydawnictwa Łódzkiego) — pozostają nowi księgarze i hurtownicy, którzy często jednak wydłużają terminy płatności, co z kolei utrudnia egzystencję wydawcom. O podobnych problemach mówi Andrzej Gruszecki, dyrektor Państwowego Instytutu Wydawniczego — to jedno z trzech najpoważniejszych wydawnictw literatury pięknej ma zamiar częściowo przejąć sprzedaż własnej produkcji (już jest w posiadaniu dwóch księgarń w Warszawie). W podsumowaniu roz-

mowy Andrzej Gruszecki tak ocenia dzisiejszy rynek książki: „Rynek książki znacznie się poprawił, ale nadal nie jest normalny, głównie ze względu na otoczenie handlowe, dystrybucję itd. Kiedyś będzie właściwy, lecz na tę chwilę nie możemy czekać z założonymi rękami. A czyniąc samodzielnie pewne rzeczy, przyczyniamy się do powstania zdrowego rynku. Za jakiś czas będzie można ocenić, czy się udało”.

Wypada wreszcie skoncentrować się na pismach stricte literackich, które na szczęście wolne są od roztrząsań dotyczących kwestii — jak to ujął pewien zrytowany czytelnik „Gazety Wyborczej” — „czy pleśnik ma duszę”. Otóż istnieje w kraju nowy, ukazujący się tylko z niewielkim opóźnieniem, kwartalnik literacki „KRESY”, redagowany przez młody zespół z Lublina. Na uwagę pismo to zasługuje od początku — ostatni numer (KRESY, nr 4.—5.) posiada atrakcyjną szatę graficzną i — jak zwykle — frapującą zawartość, m.in. sporo przekładów z rosyjskiego (Awierincew, Brodski, Mandelstam), dobrej poezji rodzimej, szkic Adama Poprawy o twórczości Jana Polkowskiego oraz ważną (w naszych

„Variach” zwracamy uwagę na wypowiedź Zielińskiego!) ankietę pn. „Pobocza, peryferie, marginesy — dzisiaj”, z udziałem czołwki krytyków i historyków literatury polskiej różnych pokoleń.

I na koniec jeszcze jeden smakowity kasek — długo wyczekiwany 3. numer krakowskiego NAGŁOSU, pisma „bardzo nieregularnego”, które miało być prawdopodobnie miesięcznikiem, a z wolna staje się rocznikiem (?). Jak zawsze w piśmie Bronisława Maja dużo dobrej literatury oryginalnej i przekładowej, zabawna proza-wspomnienie Stanisława Czyzka, interesujący wywiad z Janem Kottlem pt. „Polityki się nie wybiera, polityka wybiera nas”, również ważna ankietka „Koniec lat osiemdziesiątych”, w której najrzetelniejsza wydaje się wypowiedź Juliana Kornhausera. Ponad połowę numeru zajmują teksty i rysunki Mroźka oraz wypowiedzi i recenzje omawiające dorobek niedawnego Jubilata i bohatera krakowskiego „Mroźek Festival”. Najciekawsze wydają się jednak listy Sławomira Mroźka do Jana Błońskiego z pierwszych lat emigracji autora „Tanga”. Naprawdę warto przeczytać!

K.L.

Serdecznie zapraszamy wczasowiczów przebywających na wypoczynku w Zakopanem do korzystania z całodziennego wyżywienia w DOMU LITERATÓW „ASTORIA”. Zapewniamy znakomitą i w miarę taną kuchnię (40 tys. zł za 3 posiłki, 20 tys. sam obiad), własne wypieki, uprzejmą obsługę i rodzinną atmosferę.

Ponieważ w tej chwili coraz większa liczba ośrodków wczasowych ogranicza się tylko i wyłącznie do prowadzenia miejsc noclegowych rezygnując z wyżywienia swoich gości, uważamy naszą propozycję za atrakcyjną i mamy nadzieję, że Państwo z niej skorzystają.

Informacje można uzyskać w Zakopanem pod numerem telefonu 47-01.

# KRAKOWSKI DOM EUROPY

Rozmowa z dyrektorem  
Międzynarodowego Centrum Kultury  
w Krakowie — dr. Jackiem Purchlą

● Zaczęć kaśliwie. Czy przez sam wybór nazwy: Centrum Kultury — nie skazuje się kultury na instytucjonalizację i zbiurokratyzowanie? Istnieje znaczne niebezpieczeństwo zagubienia wśród programów i systemów indywidualnego twórcy i jego dzieła.

— Przyznaje, że nazwa naszego ośrodka nie jest może szczęśliwa. Jeszcze przed ponad rokiem minister Izabella Cywińska zgłosiła na forum międzynarodowym inicjatywę rządu polskiego utworzenia w Krakowie Centrum Kultury Europejskiej, zaś na szczycie paryskim KBWE w listopadzie ub. roku premier Mazowiecki użył po raz pierwszy określenia Międzynarodowe Centrum Kultury, które rozszerza formułę Centrum również na kraje nieeuropejskie, zwłaszcza Stany Zjednoczone. Myślę, że nie ma sensu spierać się o nazwę, nie ona jest najważniejsza, ale to, czego zdołamy dokonać, weryfikując w praktyce zasadność istnienia w Krakowie placówki o międzynarodowym zasięgu. Jeśli chodzi o potrzeby indywidualnego twórcy, to muszę się od razu zastrzec, że nie jestem w tej sprawie najlepszym adresatem. Nie chciałbym bowiem, aby Centrum zajmowało się tym, co jest w zasadzie w gestii stowarzyszeń twórczych i Ministerstwa Kultury i Sztuki. Aby nie było niepotrzebnych iluzji, pragnę zaznaczyć, że nasz ośrodek jest agendą rządową, która musi spełniać z góry określone cele i zadania.

● W takim razie: jakie są te powinności i zadania?

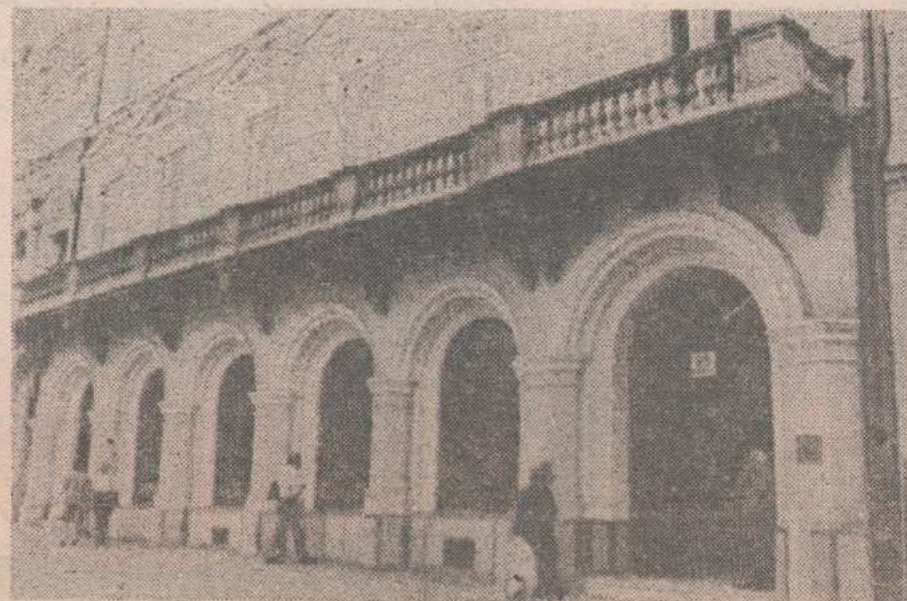
— Na pewno kierowana przeze mnie placówka nie będzie ośrodkiem w rodzaju paryskiego Centrum Pompidou. Nasze główne zadanie to nawiązanie kontaktów i współpracy w zakresie szeroko pojętego dziedzictwa kulturowego. Interesują nas przede wszystkim problemy ochrony substancji zabytkowej miasta oraz udział Krakowa w odbudowującej się obecnie sieci historycznych metropolii Europy. Wśród innych programów zwracają uwagę zakrojone na szeroką skalę projekty edukacyjne oraz badania nad mniejszościami narodowymi.

● Istnieje zapewne zasadnicza zbieżność w powołaniu Międzynarodowego Centrum Kultury w Krakowie z zakończonym tutaj niedawno sympozjum KBWE...

— Tak na ogół się sądzi, sugerując się tematyką sympozjum oraz oficjalną inauguracją Centrum na zamku wawelskim, która nastąpiła w drugim dniu trwania sympozjum. Jest to jednak jedynie szczęśliwy zbieg okoliczności. Inicjatywa powołania naszego Centrum zrodziła się niezależnie od planowanego sympozjum KBWE. Oczywiście, staraliśmy się jak najlepiej wykorzystać tę niebywałą szansę, jaką dawał 10-dniowy zjazd polityków i

ekspertów z dziedziny kultury, reprezentujących kraje sygnatariuszy KBWE. Jako członek delegacji polskiej uczestniczyłem w oficjalnych obradach sympozjum oraz nawiązałem szereg bezpośrednich kontaktów, które rokuja budującą nadzieję na przyszłość. Wydaje mi się, że już niebawem będzie szansa zakotwiczenia się przy naszym Centrum Biura Dokumentacji Szwajcarskiej fundacji Pro Helvetia. Liczę również na udział Niemców, Austriaków i Skandynawów.

● No właśnie, w czasie krakowskiego sympozjum delegacja niemiecka



Fot: WACŁAW KŁAG

przedstawiła projekt Karla Dedeciusa utworzenia w XVI-wiecznej rezydencji pałacowej Justa Deciusa na Woli Justowskiej Europejskiej Akademii Literatury i Sztuki. Jest to bardzo wzniosła idea. Kto był w Deutsches-Polen Institut w Darmstadt i widział willę Olbricha, w której mieścił się placówka Dedeciusa, może sobie wyobrazić, czym mogłoby się stać to historyczne miejsce popadające od tylu lat w ruinę. Ciekawi mnie, jaki jest stosunek Międzynarodowego Centrum Kultury do tej w końcu nienowej inicjatywy. Zabiegł Karla Dedeciusa trwają od bodaj 15 lat...

— Wiem o tym wszystkim. Świetnie się składa, że odpowiadając na to pytanie mogę podnieść zasługi Karla Dedeciusa w długotrwałym i umiejętnym propagowaniu na forum europejskim idei, którą podjęła również nasza instytucja. Nie ulega wątpliwości, że jest on jednym z ojców duchowych krakowskiego Centrum. Od początku lat 70. nie ustawał w zabiegach o utworzenie w Krakowie Europaakademii, wówczas kiedy Europa była podzielona a tego typu projekty traktowano powszechnie jako przejaw poetyckich mrzonek. Dla nas i strony nie-

mieckiej jest zrozumiałe, że ta Europejska Akademia będzie jednym z ważnych, ale i niezależnych segmentów tworzącej się struktury krakowskiego Centrum.

— Nie rozumiem więc, dlaczego wokół idei Karla Dedeciusa było tutaj w Krakowie tyle niedomówień i nieporozumień?

— Sprawą tą zajmuję się od niedawna. Dopiero w czasie sympozjum KBWE poznałem osobiście dr. Dedeciusa, przeprowadzając s nim zasadnicze rozmowy. Obracamy się w materii subtelnej, wymagającej od obu stron zarazem wyobraźni, jak i cierpliwości. Zresztą zrobiony już został zasadniczy krok w kierunku realizacji naszych planów. Miasto wykupiło na własność zespół parkowo-pałacowy Justa Deciusa, rozpoczynając podstawowy remont. Choć oczekujemy ze zrozumiałych względów wsparcia zagranicą, sami jednak chcemy wydatkować na ten cel pokażne fundusze. Swoją deklarację wsparcia tej idei złożył niedawno minister Marek Rostworowski i prezydent Krakowa Krzysztof Bachmiński. Dla przykładu podam, że Społeczny Komitet Odnowy Zabytków Krakowa przeznaczył w tym roku na renowację pałacu Deciusa sumę dla komitetu niebagatelną — 3 miliardów złotych.

Coś na wzór „Polnische Bibliothek” Dedeciusa. Przedstawione tutaj kwestie będziemy się starali omówić w detalu i ściślej sprecyzować podczas mojej lipcowej wizyty w Darmstadt.

● Przejdźmy do tego, co najbardziej nurtuje „Dekadę Literacką”. Krakowskie środowisko literackie i tutejszy PEN-Club czują się jakby odsunięte od Centrum. Wydaje się, że któryś z ich przedstawicieli winien zasiadać w Radzie Programowej i wpływać na decyzje tego międzynarodowego ośrodka.

— Z takimi samymi pretensjami zgłaszają się do mnie reprezentanci innych środowisk twórczych. Powtarzam, że Centrum dopiero się tworzy i najważniejszą rzeczą w tym momencie jest wypracowanie norm organizacyjno-prawnych, pozwalających mu rozpocząć działalność jako placówce rządowej o charakterze międzynarodowym. Radę Programową powołuje minister kultury i sztuki, i na pewno któryś z przedstawicieli krakowskiego PEN-Clubu czy też ktoś z nim związany znajdzie w niej swoje miejsce. Dla tutejszego PEN-Clubu widziałbym natomiast świetne pole działalności w aktywnym poparciu i zaangażowaniu w Europejskiej Akademii Karla Dedeciusa.

● Czy nie zastanawiasz się nad konkretnymi formami promowania literatury i sztuki?

— Istnieje ogromna odpowiedzialność popierania przez nas wartościowych zjawisk w tej dziedzinie. Z tych też powodów zdecydujemy się na wydawanie własnego periodyku, kiedy posiądziemy pewność osiągnięcia wysokiego poziomu merytorycznego i estetycznego — i co istotne — zdolności prezentowania go w językach obcych. Żadne z obecnych krakowskich pism i periodyków nie spełnia tych wymagań, gubiąc gdzieś po drodze uniwersalizm, nie wspominając o zgrzebnej i mało ciekawej szacie graficznej. Wydaliśmy już — i sądzę na przyzwoitym poziomie — dwie ważne publikacje związane z konferencją KBWE: *Kraków — dialog tradycji* w kooperacji z Instytutem Wydawniczym ZNAK oraz *Katalog wystawy obrazów Vermeera ze zbiorów pani Piaseckiej-Johnson*, tym razem z wiedeńską oficyną IRSA dr. Józefa Grabskiego. Wystawa ta otwarta została na Wewelu podczas uroczystej inauguracji naszego ośrodka.

● Wobec trudnej sytuacji kultury w kraju, wydaje się, że Centrum mogłoby objąć patronatem takie na przykład renomowane a znajdujące się w złej kondycji ośrodki jak „Grupa Krakowska” czy „Cricoteka”...

— Jako historyk sztuki i człowiek prywatny chętnie byłbym ich mecenasem, ale ze zdobywaniem koniecznych środków w prowadzonej przeze mnie placówce mam takie same kłopoty, jak i te znane ośrodki. Idealnie byłoby dla mnie spełnianie przez Centrum roli banku najlepszych inicjatyw i propozycji. Rada Europy i szereg podobnych instytucji międzynarodowych chętnie mogły nam pomóc. Jednakże zapomnia się zazwyczaj, że skończył się czas darowizn i traktowania nas przez palce, a nadszedł właściwy moment dla rzeczywistego dialogu i wymiany idei. W tym procesie musimy być często stroną lepiej przygotowaną i prezentującą bardziej oryginalne i zajmujące oferty.

— Życzę Ci sukcesów, dziękuję serdecznie za rozmowę.

Rozmawiał:

ZBIGNIEW BARAN

## Hispaniści z Europy Wschodniej, łączy się — w Krakowie

Dzięki gościnności Fundacji Duques de Soria spotkało się między 18 a 21 czerwca nad brzegami Tormesu, na sympozjum poświęconym perspektywom hispanistyki w naszej części kontynentu, około 30 przedstawicieli tej dyscypliny z Bułgarii, Czecho-Słowacji, Polski, Rumunii i Węgier. W obecności kolegów z hiszpańskich uniwersytetów przedstawiliśmy nasz dorobek, ale też i ograniczenia, jakie wszyscy — wolni ale biedni — odczuwamy w pra-

cy na rzecz promocji języka i kultury kraju, którego rząd z istic kastylijską powściągliwością reagował dotąd na nasze potrzeby. Wyrziliśmy je w sposób jasny i dobitny w dokumencie nazwanym Deklaracja z Salamanki (Declaración de Salamanca), kierowanym do hiszpańskich władz i instytucji.

Udział polskiej delegacji, której towarzyszył ambasador Polski w Madrycie, prof. dr Jan Kieniewicz, uznać mo-

żna za znaczący i w pełni udany. Było nas w Salamance dziesięcioro, z czego siedem osób reprezentowało Uniwersytet Warszawski, a pozostałe trzy — uniwersytety w Gdańsku, Krakowie i Wrocławiu. Krakowsko-wrocławską część delegacji zgłosiła inicjatywę zorganizowania w 1993 roku w Krakowie konferencji poświęconej związkom kulturalnym krajów Europy Środkowej ze światem kultury iberyjskiej. Chcielibyśmy — a w staraniach tych obiecali nas wspierać koledzy z Czecho-Słowacji i Węgier — aby Stołeczno-Królew-

skie Miasto Kraków stało się siedzibą centrum kulturalnego środkowoeuropejskiej hispanistyki, której integracja i rozwój jest sprawą pierwszorzędnej wagi, o ile Hiszpanie pragną być obecni nad brzegami Wisły i Dunaju. Nowo powstałe Międzynarodowe Centrum Kultury z siedzibą w Krakowie byłoby wymarzonym patronem tego typu instytucji kulturalnej.

JADWIGA KONIECZNA-  
TWARDZIKOWA  
PIOTR SAWICKI

# Walta Whitmana pieśń o sobie

Andrzej Szuba

Wiosna roku 1855 była prawdopodobnie najpłodniejszym okresem w życiu późniejszego barda Ameryki. Rosły, brodaty, przedwcześnie posiwiwały trzydziestoseściolatek o smagłej twarzy i włochatych, miękkich rękach pracował jak oszalały. Na dobre już wprowadził się do drukarni swoich brooklyńskich przyjaciół, braci Rome, by tam — przy warsztatowym stole, zawalonym stosami rękopisów, skreślać, drzeć i poprawiać to, co nagromadziło się w ciągu kilku lat terminowania u muzy. Potem, osobiście pomagał przy składaniu tekstów. Owocem tych gorączkowych zabiegów był opublikowany 6 lipca tom poezji pod tytułem *Leaves of Grass* (*Zdłbia trawy*) zawierający dwanaście poematów, w tym dwa tak później znane jak „*Song of Myself*” („*Pieśń o sobie*”) i „*The Sleepers*” („*Pogrążeni we śnie*”).

Zaczęły ukazywać się recenzje — częściej złe niż dobre. Trzy entuzjastyczne, anonimowe wyszły spod pióra samego autora. Ale tę najważniejszą, o największym ciężarze gatunkowym, a przy tym bardzo pochlebną, napisał sam Ralph Waldo Emerson. Nie była to zresztą recenzja sensu stricto, lecz prywatny list duchowego przywódcy transcendentalistów do świetnie zapowiadającego się debiutanta. Inna rzecz, że adresat, bez skrępowań i bez zgody nadawcy ogłosił go w nowojorskiej „*Tribune*”. „*Witam Pana u progu wielkiej kariery, która — sądząc z takiego startu — musi mieć gdzieś jednak swoje głębokie korzenie*” — pisał Emerson.

Jakie były korzenie tego późnego, tak obiecującego debiutu? Wszyscy poważniejsi badacze szukają ich w siedmiu latach poprzedzających eksplozję roku 1855. Do roku 1848 był Whitman jednym z wielu grasujących wtedy po Stanach lokalnych polityków i gazetowych pismaków. Nie bez trudności ogłaszał swoją nie najwyższego lotu pisaninę w mało ciekawych pismach; sporadycznie udało mu się przepchać jakiś wiersz czy prozę — równie mało ciekawie. Jeszcze wcześniej zajmował się drukarstwem i belferką. Przez pewien czas wydawał własne, mało ambitne pismo. Wszystko to jakby bez przekonania, bez serca i na pół gwizdka; interesowało go coś zupełnie innego.

Walter Whitman urodził się 31 maja 1810 w osadzie West Hills na Paumanok (indiańska nazwa Long

Island), wyspie, która jak wielka, dwustumilowej długości ryba ciągnie się wzdłuż stanu Connecticut i głową dotyka Nowego Jorku, tworząc jedną z jego części, Brooklyn. Było to w owym czasie jałowe i nieprzyjazne pustkowie, zdominowane przez wszechobecny w tym miejscu burzliwy Atlantyk. W takiej scenarii dojrzewał przyszły autor „*Starting from Paumanok*” („*Wyruszę z Paumanok*”).

Jako dziecko i mężczyzna zwiedził prawie wszystkie zakątki Długiej Wyspy — od Brooklynu, przez okręgi Kongs, Queens i Suffolk, aż po cypel Montauk — z jej plażami, zatokami, latarniami morskimi, równinami i lasami. Wałęsał się po dzikich plażach, ocean był pierwszym świadkiem i cierpliwym słuchaczem jego deklamatorskich popisów. Ulubionymi autorami byli Homer, Szekspir i Walter Scott. Reczytywał się w Biblii, Epikcie, Goethem, Rousseau i Heglu. Wyprawiał się na ryby i po jaja mew, jeździł konno i pływał łodzią, chętnie zawierał znajomości z rybakami, pasterzami, farmerami i pilotami promów. Przez cały ten czas był również stałym bywalcem teatrów i oper. Czytał, obserwował, słuchał, chłonał, przeżywał.

Przyszedł rok 1848, a z nim czas na obiektywizację nagromadzonych doświadczeń. Pojawily się pierwsze notatki, kielki późniejszych *Zdłbel...* W tym samym roku odbył Whitman podróż do Nowego Orleanu. Biografowie skłonni są kojarzyć czteromiesięczny pobyt w tym mieście z momentem spóźnionej inicjacji seksualnej. Doświadczenia nowo-orleańskie miały duży wpływ na jego dalsze życie, znalazły też swój wysublimowany wyraz w twórczości. Poeta stanął wobec problemu własnej inności i tylko wyjątkowa, odziedziczona po angielskich i holenderskich przodkach praktyczność, a nade wszystko terapeutyczna właściwość jego nowego emplotu sprawiły, że ten życiowy zakręt udało mu się pokonać przy stosunkowo niskich stratach własnych. Rezultatem tej autoterapii, poza „*Pieśnią o sobie*” i „*Pogrążonymi we śnie*”, były, między innymi, dwa ważne cykle wierszy: heteroseksualne (*Children of Adam* (*Dzieci Adama*)) i homoseksualny *Calamus* (*Tatarak*), a także niektóre utwory cyklu *Inscriptions* (*Inskrypcje*), poemat *Song of the Open Road* (*Pieśń ze szlaku*) i dwie słynne medytacje: *Out of the Cradle Endlessly Rocking* (*Z rozkołysanej na wieki kotyjski*

i *As I Ebb'd with the Ocean of Life* (*Gdy odpływałem z oceanem życia*). Wszystkie te utwory powstały w ciągu kilku lat, w dwu krótkich fazach (1855—56 i 1859—60) i gdyby Whitman do końca życia nie napisał już ani jednej linijki, byłby prawie tym samym Whitmanem, jakiego dziś znamy.

Pisarzem, który miał na niego największy wpływ był z pewnością Emerson. Co prawda, Whitman próbował zataić swój dług, ale

letariackiego filozofa przypominającego Chrystusa, dzielącego swój czas na pracę w warsztacie ojca i wędrówkę po okolicy i spotkania z ludźmi, wywarła wrażenie tak silne, że Whitman poważnie ograniczył swoją współpracę z czasopismami i zaczął pracować jak cieśla w przedsiębiorstwie budowlanym ojca. Krótco potem, ale jeszcze przed eksplozją roku 1855, dochodzi u niego do znamiennej zmiany osobowości. Gdzieś znika powściągliwy w obecnym młody redaktor o nie-nagannej prezenji, a pojawia się brooklyński robotnik w rozcheistanej, czerwonej, flanelowej koszuli, w wielkim, filcowym kapeluszu okrywającym zmierzwioną, szpakowatą czuprynę, pewny siebie, wlewny i ekspansywny. Przyszły poeta nie zapomniał również o zmianie imienia: schodzi ze sceny konwencjonalny Walter, syn Waltera, wchodzi niekonwencjonalny Walt. I całe to przeobrażenie jest chyba czymś więcej niż zwykłą pozą przybraną dla ekscytowania

jednego z wierszy cyklu *Dzieci Adama*, w którym słowo „mężczyzna” zostało wszędzie skrzętnie zamienione na „kobieta”...

„*Jestem chyba zupełnie inny niż przypuszczasz*” — pisze poeta w jednym z wierszy z roku 1860. Był to czas, kiedy Whitman miał już za sobą najtrudniejszy okres wywołany szokiem po odkryciu swoich odchył, kiedy zaakceptował własną inność na tyle, że mógł o niej pisać śmiało, bez mglistych aluzji charakterystycznych dla jego wcześniejszych utworów, aluzji zrozumiałych tylko dla jemu podobnych.

Po burzy lat 1855—56 i 1859—60 nastąpił kilkuletni okres pisarskiej stagnacji. Niektóre wiersze z cyklu *Tatarak*, a także dwie wielkie, wspomniane wyżej medytacje z cyklu *Sea Drift* (*Prąd morski*) i poemat *So Long!* (*Zegnajcie!*) z cyklu *Songs of Parting* (*Pieśni rozstania*) świadczą o przeżywanym przez autora kryzysie psychicznym. Mógł on być wy-



Rys. ALEKSANDER PIENIEK

czynił to na tyle nieskutecznie, że trudno mieć wątpliwości. Autor *Inskrypcji* świadomie kreował się na poetyckiego geniusza Ameryki, takiego, jakiego wymarzył sobie Emerson.

Innym źródłem duchowej przemiany Whitmana mogła być lektura książek George Sand, na przykład *Consuelo* i *Le compagnon de tour de France* (tytuł pol. wyd. *Wędrowny czeladnik*, PIW, 1955). Zwłaszcza druga powieść, w której pojawia się postać pięknego, młodego cieśli, pro-

zdezorientowanej publiki. Już raczej do głosu dochodzi prawdziwa natura człowieka dotąd krępowanego przez społeczne konwenanse, życie rodzinne i zawodowe. A może w ten sposób Whitman kompensował sobie brak tych cech, które tak podziwiał u innych — krzepkość, atletyczność, dzikość, rozwiązłość, nieokrzesanie... Tyle tej papierowej męskości pojawia się w jego wierszach, że nawet mało uważny czytelnik zaczyna sobie niechcący przypominać co poniektóre rozdziały Freuda i Junga. A jeszcze ten rękopis

nikiem tylekroć wspomnianej przez Whitmana „nieodwzajemnionej miłości”. Powstaje zaledwie kilka niezbyt udanych, oklicznościowych wierszy, m.in. *Eighteen Sixty-one* (1861) i *Beat! Beat! Drums!* (1861) sprowokowanych wydarzeniami, które wstrząsnęły wszystkimi trzydziestoma czterema stanami młodej Ameryki. 12 kwietnia 1861 baterie konfederatów rozpoczęły dwudniowe bombardowanie fortu Sumter w Południowej Karolinie.

Pokłosiem secesyjnej zawieruchy był powstały przeważ-

Walt Whitman

DO PEWNEJ SPIEWACZKI

Proszę, przyjmij ten dar,  
Miał być dla jakiegoś herosa, mówcy lub generala,  
Kogoś, kto służyłby starej, dobrej sprawie, wielkiej kłeci, wojności  
i postępowi rasy,  
Dla dzielnego, walczącego z despotą powstańca, śmiałego  
buntownika;  
Lecz widzę, że to, co chowałem dla innych, równie dobrze mogą  
dać tobie.

MIGAWKA

Przez szparę podpatrzona ta scenka:

Woźnice i robotnicy stłoczeni w barce wokół pieca późnym  
zimowym wieczorem i ja, nie zauważony, siedzę gdzieś w kącie,  
Młodzieniec, który kocha mnie z wzajemnością, podchodzi cicho  
i przysiadł tuż obok, aby móc trzymać mnie za rękę,  
Wchodzą, wychodzą, czas mija w zgiełku pijackich przekleństw  
i grubych żartów,  
I my dwaj, radzi sobie, szczęśliwi, że jesteśmy tu razem,  
małomówni, może całkiem milczący.

## FASZYZM I TULIPANY

Jorge Edwards

Jorge EDWARDS — pisarz chilijski ur. w Santiago de Chile w 1931 r. Studiował filozofię i prawo, pracował jako adwokat, rolnik, dziennikarz, dyplomata. Obecnie jest jednym z najbardziej znanych i cenionych pisarzy Ameryki Łacińskiej.

**M**y Chilijczycy od około 20 lat jesteśmy stale skazani na zdawanie egzaminów. Nasi egzaminatorzy są rozmaitej maści, zasiadają w najróżniejszych komisjach, a czuwanie nad nami i osądzanie nas nigdy ich nie nuży. W roli sędziów samowładnych odznaczają się ponadto cechą, którą można by nazwać osobliwą: najpierw sądzą, potem pytają, przesłuchują, badają. Ale zawsze na pierwszym miejscu jest ocena. W tym punkcie są nieprzebiegani i stali. I nie martwią się zbyt o własną wiarygodność. Po co!

Osobiście doświadczyłem wielu sądów i krytyk. Stałem się, już dość dawno, nie stawiając sobie tego bynajmniej za cel, prawdziwym ekspertem od krytyk jawnych i zawołanych. Kiedy pod koniec roku 1970 przyjechałem do Hawany, natychmiast zostałem postawiony na cenzurowanym i skazany bez ceregieli. Rząd Castro stwierdził, że nie jestem osobą odpowiednią, by reprezentować Chile i stwierdził to jeszcze przed moim przybyciem. Powiedział mi to sam Fidel w przeddzień mojego wyjazdu tak, że nie musiałem szukać dodatkowych dowodów sprawy. Wyrok orzekł, iż nie jestem prawdziwym rewolucjonistą, lecz burżuazyjnym intelektualistą. Tyle samo co zapowietrzonym, potępionym.

Kiedy pod koniec 1978 postanowiłem wrócić z Barcelony do Chile, ponownie musiałem przejść przez egzamin. Skoro wracam do kraju w tym właśnie momencie, czyż nie znaczy, to, że jestem zakamuflowanym faszystą, hipokrytą, osobą, która pragnie paść w ramiona dyktaturze? Tłumaczyłem, oszczony, że w Chile niewątpliwie istnieje despotyczny reżim, represyjny i twardy, ale że zaczynają się tworzyć przestrzenie wolności i że tym właśnie różni się on od hitlerizmu i klasycznego faszyzmu. Odpowiedź ówczesnego publicysty brzmiała: w Chile nie ma faszyzmu, w Holandii nie ma tulipanów. Myślę, że ów publicysta, w swym uproszczonym spojrzeniu na świat, nie może jeszcze do tej pory otrząsnąć się ze zdumienia wobec tak nietypowych przemian, jakie się u nas dokonały, albo też powtarza sobie, tak jak wielu innych, że chilijska demokracja to bełkot dla grzecznych dzieci.

Teraz widzę, że i prezydent Aylwin musiał, jak każde nasze los, zdać egzamin. Poproszono go, by wytłumaczył swoje powiązania z generałem Pinochetem, a jego wyjaśnienia nie zawsze były dobrze przyjęte. Nawet w Chile utrzymywano, z niezbyt życzliwą ironią, iż jest on najlepszym ambasadorem, jakiego Pinochet miał w Europie. W rzeczywistości, Patricio Aylwin dał odpowiedź dość prostą i roztropną, a którą można by streścić następująco: generał był dyktatorem, co do tego nie ma wątpliwości, i my walczyliśmy przeciwko jego dyktaturze, ale był dyktatorem, który uznał swoją porażkę w wyborach, przekazał rząd w sposób pokojowy i obecnie zachowuje się jak żołnierz uznający zwierzchność władzy cywilnej. Sytuacja również nietypowa, jeśli państwo sobie życzą, ale prawdziwa.

Część europejskiej prasy zrozumiała te stwierdzenia jako bezwarunkowe uznanie Pinocheta, co stanowi klasyczny przykład zbyt daleko posuniętej interpretacji, i niektórzy

członkowie naszej emigracyjnej skrajnej lewicy wyszli protestować na ulice. Jak już niejednokrotnie mówiłem, są to osoby, które przez te ostatnie dwadzieścia lat niczego nie zapomniały ani też niczego się nie nauczyły. Protestowały przeciwko, ale nie wiadomo za czym: za powrotem roku 1988 czy za powrotem do 1970.

**W** Europie, a przede wszystkim w Hiszpanii, sposób patrzenia na Chile sprządza się do dwóch biegunów, dwóch antypod, Salvadora Allende i Augusta Pinocheta. Chilijczyk, który nie utożsamia się z tymi dwoma biegunami, nie istnieje. Aby Patricio Aylwin był czytelnym, usiłuje się zrobić zeń allendystę bądź pinochetystę. Tę samą operację stosuje się do nas wszystkich. Isabel Allende czytana jest nie dlatego że jest dobrą pisarką, a niewątpliwie nią jest, ale dlatego że ludzie wierzą, że jest bratanicą Salvadora. Ktoś zniechęca publikuje jakiś mój tekst i umieszcza pod spodem bez porozumienia ze mną ani uprzedzenia mnie: „Powieściopisarz i doradca rządu Salvadora Allende”. Po cóż to dziwne stanowisko? Po to, abym zaistniał, po to, aby jakiś bezrobotny czytelnik odczuł pokusę przeczytania mnie. Mogłbym powiedzieć, że owszem, jestem powieściopisarzem, ale nigdy nie byłem doradcą żadnego rządu, a gdybym doradzał Salvadorowi Allende, postarabym się, żeby niektóre rzeczy zrobił lepiej. Mogłbym tak powiedzieć, ale moi przyjaciele ostrzegają mnie, zaniepokojeni, że nie powinienem tego robić z żadnych powodów. Sprzeciwianie się utartym sądom, prostemu spojrzeniu na sprawy, jest — mówią mi — zbyt ryzykowne, a ponadto daremne.

Parlament strasburski, w najlepszej wierze, ogłosił właśnie deklarację, która ma popierać chilijską demokrację. Ale wychodzi w niej z założenia, iż nasza władza wykonawcza podlega wojskowej kuratelii. Oznacza to całkowity brak zrozumienia tego, co się stało w Chile. W Hiszpanii Franco zmarł w swoim łóżku i na swoim tronie, lecz postfrankizm groził jeszcze przed jego śmiercią. Postpinochetyzm również rozpoczął się w Chile przed odejściem Pinocheta, ale my podążamy o wiele szybciej niż Hiszpanie. Było to widoczne bardzo wcześnie. To był właśnie jeden z powodów, które wpłynęły na mój powrót do Chile w 1978 roku, a który wielu moich kolegów z Półwyspu tak źle zrozumiało.

Chilijskie otwarcie na demokrację, w przeciwieństwie do hiszpańskiego, osiągnęło swój szczyt w procesie elektoralnym, którym sprawnie pokierowała opozycja i w którym moi współziomkowie wykazali duże doświadczenie. Od tamtej chwili siły zbrojne, które wyszły na ulicę w sytuacji, której też nie można do końca zrozumieć patrząc z zewnątrz, zaczęły wracać do koszar. Była to nieodwracalna ewolucja, która zaskoczyła nas samych, ale którą jednocześnie jasno można było przewidzieć. Jedynie, co mogłoby zakłócić jej przebieg, to masowy wzrost terroryzmu, ale naprawdę nie wierzę, by mogło to nastąpić.

Przełożyła:

ANNA SIEPRAWKA

nie w roku 1865 cykl *Drum-Taps* (Werble), a wojenne echa pobrzmiwają w wierszach Whitmana do samego końca, przez następne ćwierć wieku. Poza tym, z większych rzeczy, należących dziś do Whitmanowskiego kanonu, ukazują się poematy: *When Lilacs Last in the Dooryard Bloom'd* (Gdy bzy ostatnie kwitły na dziedzińcu, 1865—66) z cyklu *Memories of President Lincoln* (Wspomnienia o prezydencie Lincolnie) oraz *Passage to India* (Podróż do Indii, 1868) i *Prayer of Columbus* (Modlitwa Kolumba, 1874). Ten ostatni utwór powstał już po brzemienym w wydarzeniu roku 1873; w styczniu, poeta cieszący się czerstwym dotychczas zdrowiem został dotknięty paraliżem, w lutym zmarła jedna z jego siostr, w maju stracił swoją ukochaną matkę. Rozrastają się wszakże kolejne wydania *Zdźbeł trawy*, a do publikacji z lat 1855, 1856, 1860, 1867, 1872 dochodzą wydania z lat 1881, 1888 i 1891. Najbardziej amerykański z poematów ogromnieje razem ze Stanami Zjednoczonymi. W roku, w którym jego autor przyszedł na świat, w skład Unii wchodziło dwadzieścia jeden stanów, w momencie debiutu ich liczba wzrosła do trzydziestu jeden, w dniu jego

więcej. Whitman to także upoetycznione wstępniaki z pierwszych stron gazet i mistyczny panteizm, botaniczne i geograficzne wyliczanki ściągnięte z podręczników szkoły powszechnej i profetyczna wizja dzisiejszej Ameryki. Jak to czytać? Ano bez uprzedzeń, z całym wątpliwym dobrodziejstwem inwentarza. Wtedy stanie się cud, okaże się, że mimo nieznośnego pohukiwania o demokracji i duszy, mimo podejrzanej jakości metaforyki i mało wyrafinowanej symboliki, mimo niczym nie skrepowanego gadulstwa jest Whitman poetą wiarygodnym, do którego trzeba dorosnąć.

**W**szachobecny duch Walta Whitmana patronuje bezpośrednio lub pośrednio większości XX-wiecznych poetów amerykańskich. To tak jak gdyby dobry, siwy poeta „podzielił się” strekami wpływów z innymi gigantami literatury amerykańskiej, Emily Dickinson i Edgarem Allanem Poe, z tym, że jemu przypadłoby więcej. I tak, duchowymi dziećmi barda Ameryki są, oprócz autorów już wymienionych, zarówno ewangeliczny Vachel Lindsay (1879—1931) jak

Walt Whitman

## TEN CIEN, MOJ PORTRET

Ten cień, mój portret, który krząta się, zarabia na życie, targuje się, paple —

Jakże często łapię się na tym, że obserwuję jego zabiegi; Jakże często pytam sam siebie i wątpię, czy to naprawdę ja; Lecz wśród moich kochanków, i kiedy śpiewam te pieśni, O wtedy nigdy nie wątpię, że to naprawdę ja.

## O, TY, KTÓREGO TAK CZĘSTO, NIEŚMIALY, NACHODZĘ

O, ty którego tak często, nieśmiały, nachodzę — aby być z tobą. Kiedy razem idziemy albo siadam przy tobie albo przebywam w tym samym, co ty, pokoju. Tak niewiele wiesz o tym elektrycznym subtelnym ogniu, co igra we mnie z twojego powodu.

śmierci było ich już czterdzieści cztery... Ostatnie, przedśmierne wydanie zostało przygotowane przez samego Whitmana i zawiera wszystkie wiersze, które poeta pragnął zachować dla potomności, 438 stron drobnego druku.

**J**aki właściwie jest ten Whitman? Niech wypowiedzą się autorytety... Ezra Pound: „Jest wstrętny jak przyprawiająca o mdłości pigułka, ale dobrze robi”. R. W. Emerson: „Godna uwagi mieszanina *Ehagawadgity* i „*New York Herald*”. F. O. Matthiessen: „Przypominał dziecko albo poetę prymitywnego. Samonazywanie sprawiło mu ogromną radość”. Roger Asselinaeu: „Mistyk, który w roku 1855 pragnął odwiedzić światu nową ewangelię, stopniowo stawał się artystą świadomym swych defektów, ale przeważnie niezdołnym do ich usunięcia”.

Podobnie niejednoznaczne opinie wyrażali: William Carlos Williams, D. H. Lawrence, Walter Sutton, u nas — Stanisław Helżyński, Roman Dyboski, Czesław Miłosz.

Nic dziwnego. Lektura *Zdźbeł trawy* to zajęcie wymagające nawet od zahartowanego czytelnika ogromnego wysiłku woli i cierpliwości. Trudno zaiste o książkę bardziej nierówną. Wielkość sąsiaduje z poetycką szmirą, sentymentalny banał z natchnionym prorocstwem. I

„demokratyczny” Carl Sandburg (1878—1967). Do duchowego pokrewieństwa z Whitmanem przyznawał się e.e. cummings (1894—1962) i propagator demokracji amerykańskiej, twórca epickiego poematu *John Brown's Body* z roku 1928, Stephen Vincent Benét (1898—1943). Whitmanowską poetykę rozwijał poeci *beat generation*, przede wszystkim Allen Ginsberg w swych najlepszych wizjonerskich dokonaniach i „kosmiczny” Gary Snyder. Pod dużym wpływem Whitmana pozostał Frank O'Hara (1926—1966), a po dziś dzień wiele mu mają do zawdzięczenia inni uczestnicy szkoły nowojorskiej, Kenneth Koch (ur. 1925) i John Ashbery (ur. 1927).

Wkrótce minie sto lat od śmierci „dobrego, siwego poety”, sto lat krytycznego przeżywania i czytelniczego rozterki. Wciąż jeszcze nie wiemy, jak wypełnić otchłanną otwartość jego poematu, nie do końca pojęliśmy, jaką rolę spełniał i spełnia w historii literatury.

Ojciec duchowy Blaise'a Cendrarsa, dziad Harta Crane'a i pradziad Allena Ginsberga zmarł 26 marca 1962 roku w swoim domku przy Mickle Street w Camden, New Jersey.

Andrzej Szuba

## Fundacja im. Kościelskich, Genewa

nagroda jednorazowa

imienia pierwszego prezesa fundacji

Kajetana MORAWSKIEGO, dyplomaty i pisarza

w wysokości

10.000 franków francuskich

za zasługi położone ostatnio na polu krzewienia kultury francuskiej albo za najlepszy przekład z francuskiego na polski opublikowany w czasie ostatnich 10 lat.

Nagroda będzie nadana jesienią 1991 roku. Jest przeznaczona dla osoby zamieszkującej w kraju.

Dekada Literacka 5

# Bajka o Złotej Pradze

Bohumil Hrabal

Miss April, los Pani i mój związany jest ze „Złotym Tygrysem”, tutaj natrafiliśmy na siebie, to właśnie jest moje love story, nigdy nie odpowiedziałam na list Pani, chociaż tak często do Pani pisałem, ponieważ zdecydowałem się na list jako formę literacką i stąd wzięły się listy do Dubenki, czyli do Pani, które kierowałem do czytelników „Praskiej Imaginacji” poprzez gazety nadawałem intymne komunikaty zarówno o moim stosunku do Pani, jak i o tym wszystkim, co wydarzyło się in rebus politicus w kraju, gdzie żyję i gdzie przez jakiś czas studiowała Pani bohemistykę... Miss April, wszystko co nas rozdziela, jednocześnie nas łączy, ta powietrzna linia jest trwała, niewidzialna masywna do pisania, na której wystukują śpiew mego do Pani stosunku... I gdziekolwiek jestem, to nie tylko Panią widzę, ale też z Panią rozmawiam. Miss April, kiedy jestem w Kersku, to tam, między dwoma opasłymi pniami brzoź ciągle jest wyciągnięta Pani z głową na swoim plecaczku, w którym ma Pani słownik czesko-amerykański i amerykańsko-czeski, wciąż tu Pani leży, jest tutaj trwały odcisk Pani leżącego ciała, nawet sen Pani został tu na wieki, a ja widzę Panią za każdym razem, kiedykolwiek tu jestem, żeby nakarmić kociaki i by od czasu do czasu napisać do i dla Pani list, chociaż nigdy go Pani nie wysłałam... A więc jest tu Pani trwale obecna, kocury i kotki obchodzą Panią, obwąchują, a Pani śpi albo sobie popatruje na korony brzoź... Koty Panią obchodzą, a Pani jest ich Świącą Królową, naszym darem nad darami, jak Duo, lodowy tort... Zawsze, kiedy nalewam kociakom mleko, wlewam mleczko do dużej białej miski, którą stawiam tam, gdzie podczas pierwszej wizyty miała Pani głowę, a pod nią słownik, kociaki otaczają główkę Pani i chlepczą mleczko, te koty podobne są do szprych zbiegających się w piaskie koła lebki wokół głowy, a różowe języczki chlepczą, czasem wciągną mleko różowymi noskami i wtedy zachylają się i prychną... a Pani, Miss April, przez powietrzny trakt na pewno słyszysz koło swych uszek i loków, jak kociaki szepczą Pani do uszka czule pozdrowienia z kerskich lasów aż tam, do Kalifornii... Miss April, kiedyś w Pradze zaproponowałem Pani nocleg u mnie, położyłem Panią na swojej kanapie, dałem poduszki i koldre mojej żony, spała Pani u mnie jedną noc i od tamtego czasu śpi u mnie zawsze, znów jest Pani w zasięgu mego wewnętrznego monologu, a ja często się budzę, tak jak i Pani, i podchodzę do okna, ulica świeci całą noc jej oświetlenie ciągnie się jak rozzerwane sznury bursztynowych naszyneków, światła aut i autobusów wytwarzają

skrzące się iskry i to, co widzę z mego nocnego okna, widziała wtedy także Pani, wprawdzie tylko raz, ale za to na wieki. Podobnie gdy się kładę, wtedy Pani leży obok mnie, a kiedy lśniący księżyc zagląda mi po północy w okno, a ja nie mogę spać podczas pełni, to wtedy jeśli nie budzi mnie Pani, robi to księżyc na bezchmurnym niebie, ponieważ ja podczas pełni cierpię po nocach, tak samo jak pięknie cierpię z powodu Pani leżącej obok mnie, chociaż ciało Pani leży gdzieś nad Pacyfikem... Ostatecznie wszystko to, co zakochane, a zatem i ludzkie, faluje w powietrzu, Miss April, tak często myślę o Pani, a Pani być może nawet o tym nie wie, właściwie to cieszę się z tego, że widzieliśmy się tylko kilka razy, Rilke pisze o minnesingerach, którzy wyspieliwali pięknym damom miłosne pieśni i drętwieli ze strachu, aby nie spotkało ich to nieszczęście, że ich pieśni miłości mogłaby zostać wysłuchana, a miłość odwzajemniona...

Miss April, widzieliśmy się w Pradze po raz ostatni, gdy na Florencju odprowadzałem Panią do podziemnych tramwajów, kiedy to podarowałem Pani pierścień z rubinowym oczkiem... a potem ostatni uścisk dłoni, ostatnie spojrzenie i wessał Panią tunel podziemnej kolejki... Miss April, Pani jest i będzie ciągle obecna, tak jak u „Złotego Tygrysa”, kiedyśmy piłki piwo i zrobili sobie zdjęcie z trzymaną w rękach otwartą kieliszką Ladislava Klimy, tę oszkloną fotografię posłała mi Pani pocztą z tych Pani Stanów Zadowolonych, a w ogóle te fotki, co je dostanę od Zuzanny, kiedy je tak sobie oglądam, to one żyją, nosze je nawet w swoim studentkim plecaku, patrze na Panią w autobusie, w kolejkę podziemnej, te fotografie mówią mi to samo, jak gdyby Pani była obok mnie... Jest tu Pani obecna, nawet gdyby Pani umarła, bo dla mnie Pani nie może umrzeć nigdy, należymy do siebie jak dwie posmarowane masłem kromki, ponieważ, Miss April, u „Złotego Tygrysa” dzieją się rzeczy, które dowodzą, że wraz ze śmiercią nie kończy się ani przywiązanie, ani miłość...

Tam przy oknie, za kotarą, zaraz jak skreca się za szynkwasem, więc tam u „Złotego Tygrysa” przesiadują młodzi mężczyźni, malarze, graficy, absolwenci akademii i szkół nlastycznych, którzy żyją z dekoracji i reklam... no i oni mają Złota Pragę, która tu codziennie po czwartej pije piwo, to także stowarzyszenie, które każdego roku organizuje wycieczki parowcem albo piesze raidy, ta Złota Praga zimą urządza balet lub mac-karady i rok w rok wydaje kalendarz, słynny kalendarz znany na wszystkich kontynentach... Czasami za kotarą sledzi dwudziestu pie-

ciu przyjaciół Złotej Pragi i kiedy ktoś chce pójść do toalety, wtedy na dany znak wszyscy rękami podnoszą wysoko ten stół razem z popielniczkami i kuflami piwa, a potrzebujący schyla się i przechodzi pod stołem, a potem ludzkie dłonie znów stawiają ten stół na podłodze, żeby po powrocie przyjaciela na dany znak znów uniosły stół dziesiątki rąk...

wiek wcześniej, ba, jak zamówili baterię piw, wtedy kelner przyniósł Mili tam, gdzie był zwykle siadywać, kufel spienionego piwnera... a kiedy wszyscy już wypili, to rytualnie wylał kufel Mili do zlewu i przynieśli mu następny... A potem, Miss April, nadeszła ta chwila — dłonie żalobników połączyły się i na dany znak podniosły ten pełen kufli piwnera stół, żeby nieboszczyk Milla mógł pod nim przejść i skoczyć do męskiej toalety... Wszyscy stali i patrzyli, jak Milla idzie do klozetu, widzieli go, jak wraca, jak się pochylił, przechodzi i siada na miejscu, gdzie zawsze przesiadywał i siedzi tam także teraz, już po swojej

a nieboszczycy są obecni na własnej stypie, i że ja pozwałam sobie pozdrowić drogą Dubenkę, z którą Pani, Miss April, ziewa się jak automatyczne kredki firmy Koh-i-Noor Waldes.

Miss April, proszę przekazać Dubence moje ukłony, od teraz będę pisał raczej do Pani, być może dzięki temu ton i styl mego pisania będzie układniejszy. Miss April, zawiadamiam Panią poufnie, że znów zacznę się wcztywać w Emme Bovary.

PS  
Emma Bovary... Emma, ach, przypomniałem sobie, że kiedy byłem u Fary z tą moją ręką, dostałem samizdat pana doktora Pondělíčka O bovaryzmie... Droga Miss April, przesyłam Pani kilka wynotowanych stamtąd linijek...

Nathalie Sarraut: Za pośrednictwem swych postaci pisarz absolutnie szczerze opowiada o sobie samym. Flaubert cierpiał na epileptyczną historię w roku 1823... Histeria zapewnia historykowi pozycję dominującą, czyni z niego ośrodek zainteresowania... Zysk z zachowań historycznych: obrona przed stanami lekowymi, historyk chce uzyskać korzyści emocjonalne oraz społeczne... Ucieczka przez symptomatyczne drzwi... Konwersja: konflikt psychiczny powoduje zakłócenie funkcji fizycznych... Janet: celem historyka jest la belle indifference. Spokój natologiczny za cenę stłumionych impulsów oraz poskromionych pragnień... Dążenie do utworzenia sobie drogi do drugiego człowieka... Emma Bovary... Została zburzona sama „zadłużonej godności” bohaterki... Histeria jest komediantką życia psychicznego, groteskowym aktorstwem, dramatycznymi postawami, nierozczwista imaginacją... Proces historycznej konwersji, zesolenie duszy z ciałem jest obdarzony ładunkiem groteski i fantastyki... Konwersja jest psychosomatyczna zasadka i problemem patologii... Histeria snrzyja fałszywej koncepcji własnego ja, zamazuje prawdę o sobie samym... zamazuje defekty życia psychicznego... obwinianie kogokolwiek... Faucault mówi o spontanicznej archeologii niedysyjszego libido... dzieciństwo... spontaniczna archeologia powraca przy historycznej neurozie... regresja do zachowań infantylnych i karykaturalnych...



rys. ALEKSANDER PIENIEK

Miss April, ale pewnego dnia dotarła wiadomość, że jeden z nich, będą go nazywał Milla, że Milla odszedł z tego świata... A ponieważ Złota Praga urządza u „Złotego Tygrysa” nie tylko wesela, nie tylko chrzciny, ale także pogrzeby, więc o dziewiątej rano cała Złota Praga w czerni była na kremacji swojego kolegi, który miał czterdzieści trzy lata... a później o dziesiątej była u „Złotego Tygrysa” stypa... Wszyscy siedzieli tam gdzie zwykle, tylko miejsce Mili było puste, a właściwie nie, nie było puste, leżały na nim kwiaty, a Milla jakby żył i był bardziej obecny niż kiedykol-

kremacji... A kiedy przekonali się, że Milla już usiadł, wtedy przyjazne ręce znów opuściły rytualnie na podłogę ten długi, dębowy stół... A później Złota Praga zamówiła ostatnią rundę piwa, Milla wypijał codziennie pięć...

Miss April, dzieło się to w „Złotym Tygrysie”, gdy zmarł jeden z członków Złotej Pragi... Jest to zdarzenie rzeczywistością czy też czystą imaginacją? Jednak w Pradze, gdzie żył rabbi Löwe i jego Golem wszystko jest możliwe, także to, że rozmawiam z Panią za pośrednictwem powietrznej poczty i że podczas księżycowych nocy przechadza się tu zwiewnie Biała Dama,

kwiecień, w Kersku witnie barwinek. Właśnie doczytałem w „Tvorbie” recenzję „Podziemne rzeczulki Bohumila Hrabala”, tekst napisał Tomáš Mazal... Stwierdził, że przypominam mu wędrująca za kwiatami Pasterka Jeffersa... że ja, w miejsce owieczki otoczony kociakami, wędruję przez listopadowy huragan i Podziemne rzeczulki... za Dubenką.

Przełożył: JAN STACHOWSKI

Powyższy tekst powstał w pierwszych dniach kwietnia br. Jego adresatka, April Clifford (Dubenka) to młoda znajoma Hrabala, amerykańska bohemistka z Kalifornii. Duben = czes. kwiecień. (J.S.)

## Teresa Truszkowska ŁĄKA

Ta łąka różowych kwiatów jeszcze drży, faluje. Emanuje blaskiem słońca, szumem lodyg. Nad nią chmura motyli. Miodowy zapach lata. Dziewczyna nie może zapomnieć tej łąki, do której dotarła pewnego

## 6 Dekada Literacka

lipcowego dnia po wielogodzinnej wspinaczce wraz z dwiema kobietami i trzema mężczyznami. Tak, to wtedy oczarowani widokiem nieznanych kwiatów zaczęli robić zdjęcia. Pod wieczór z żalem zeszedli w dolinę, przyrzekając sobie wkrótce do niej wrócić. Wymienili między sobą adresy, by przesłać zdjęcia.

Przez dwa tygodnie padał deszcz i nie można nawet było marzyć o następnej wyprawie.

Dziewczyna oddała zdjęcia do wywołania. Nic na nich nie wyszło. Na jednym lub dwóch ukazała się niewyraźnie jakaś droga i pagórek porośnięty lasem. To wszystko.

Napisała do pozostałych uczestników wycieczki. Listy zwrócono jej z dopiskiem „adresat nieznan”. Próbowała narysować znanemu botanikowi kwiaty rosnące na łące — oświadczył, że taki gatunek w ogóle nie istnieje.

Wreszcie postanowiła odszukać tę łąkę. W zapamiętanym miejscu rozciągało się pole nędznych ziemniaczanych krzaków, a opodal pasł się samotnie chudy czarny koń.

# URLOP

Bohumil Hrabal

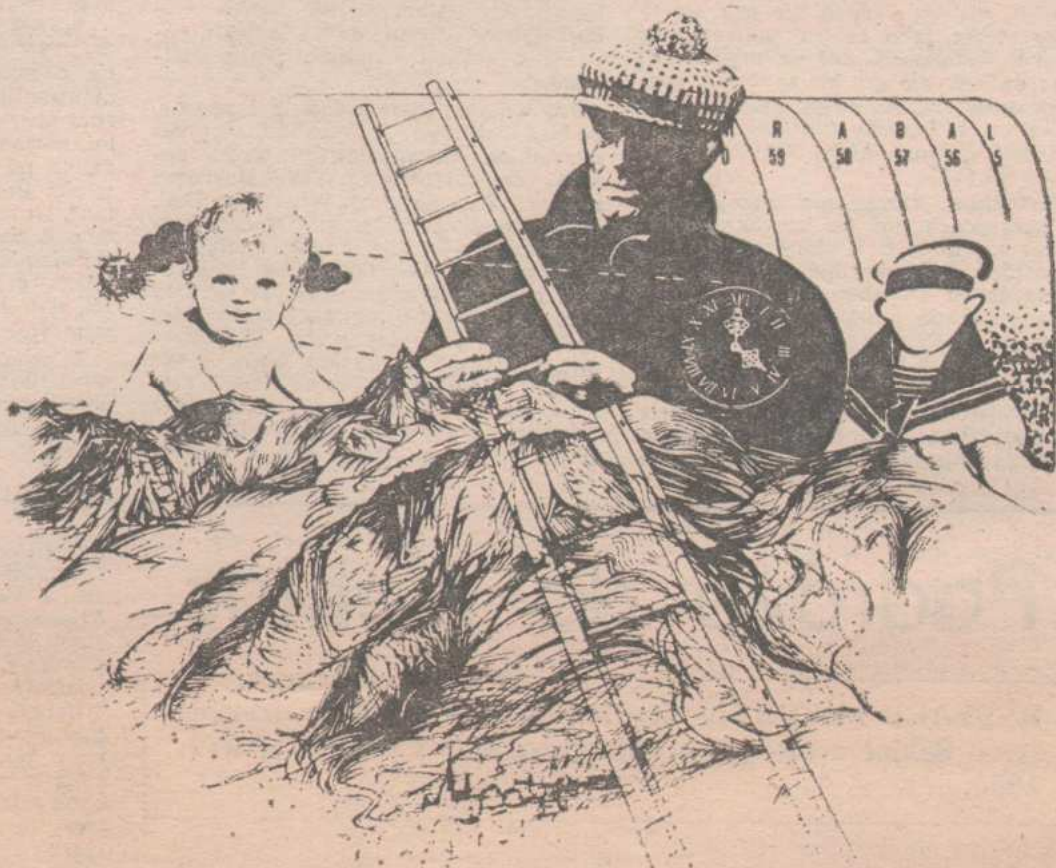
Byłem z przyjaciółmi na Burlopie i nie wiem dlaczego upodobaliśmy sobie jazdę wyciągiem na Groni. Było lato, chłodne przedpołudnie, ogromna linowa pętla z przyczepionymi do niej krzeselkami unosiła w górę ludzkie postaci, kolorowe sweterki, pstrokate kurtki i nagie kolana, a ponieważ nikt nie jechał w dół z Gronia, więc tylko w górę przesuwały się odwrócone ludzkie twarze, siedzące nieruchome sylwetki, podczas gdy z góry wracały puste siedzenia, podniesione klapy ukazywały numery tych zstępujących krzeselek, spostrzegłem też, że numery krzeselek wznoszących się w górę są coraz niższe, maleją, sześć kółeczek, unoszących i zabezpieczających krzeselka przed zerwaniem się ze słupa, turkotało, spostrzegłem, że na każdym słupie były w rytmicznych odstępach po cztery kółeczka, a na co trzecim po sześć... Jeździliśmy więc tylko po to, żeby się znaleźć na górze, gdzieśmy jedli obiad, spacerowali, wchodzili na zbocza gór, podziwiali widok na góry otaczające Wratną Dolinę, by po południu znowu zjechać krzeselkami w dół. No więc jechaliśmy w dół, podczas gdy zbocza przed nami przesuwały się w górę, z naprzeciwkami sunęły w górę krzeselka, na co trzecim albo tuż po sobie, grupkami, siedzieli ludzie, siedzieli uroczyście, a kiedy mijaliśmy się, to prawie każdy patrzył w oczy tego, którego mijal i tak oto numery krzesel, które przy górnym nawrocie kolejki zakreślały, teraz przy zjeździe w dół ciągle rosły, zwiększały się. Ale przy pierwszym zerknięciu się z kolejką dostrzegłem wyłącznie mijające mnie twarze pięknych dziewcząt, młodych mężczyzn, dzieci, starszuchów... wszyscy jednak w czasie mijania spuszczały oczy, żeby je w ostatniej chwili podnieść i wszyscy, mijając się, zawsze zdążyliśmy na siebie popatrzeć, takie niby przelotne, a przecież tak głębokie spojrzenie ludzkich oczu, że właściwie jazda z tyłoma zerknięciami spojrzeń była bardzo wyczerpująca, więc chyba każdy uczestnik jazdy krzeselkami w górę i w dół w końcu tak zmoczył się tą grą i przechodzeniem od oczu do oczu, że starał się jakoś ominąć te oczy z naprzeciwka, ale ciśnienie płynu ocznego było tak wielkie, że cała ta jazda znowu stawała się jednym wielkim oczekiwaniem, jakąś kokieterią wyższego rzędu, czymś w rodzaju niedzielnego corso, które z powodu owej gry oczu osłabia ciało i rozjątrza duszę. Trwało to jeszcze na dole, gdy krzeselkowy turysta odlatywał się od swego siedzenia jak od łańcuszkowej karuzeli, gdy stanął na wielkiej platformie, a pracownik kolejki złapał za nim krzeselko, zresztą kilkakrotnie trzeba było pomagać ludziom wyczerpanym grą oczu do tego stopnia, że się im uginały nogi... A potem jeszcze ciepłe

krzeselko, niesione mechanizmem wyciągu, z turkotem wchodziło w zakręt, by jego numer schodzący w arytmicznym porządku, zaczął wzrastać, otrzymując odwrotny znaczek i wraz z następnym turystą wznosząc się znowu w górę. Kiedy wytoczyłem się na zewnątrz pijany od ludzkich spojrzeń, ujrzałem betonową bryłę wzmocnioną czarnymi trawersami, nieczym dziesięcioletni odważnik, który napina linową pętlę naciągniętą z doliny aż na górę, na Groni... a trawers pokrzyty był czerwonym lakierem, betonowa bryła zaś pod spękaną czernią ukazywała kolor litego betonu. I już od pierwszej jazdy moi przyjaciele i ja nie pragnęliśmy niczego innego, jak tylko przynajmniej raz na dzień wyjechać krzeselkami na górę, a potem cieszyć się, że znów pojedziemy w dół, było coś cudownie erotycznego w tej jeździe, pięknej jak melancholijny sen. Jan Smetana, malarz, był tak zachwycony tą jazdą, że stawał się piękny nie tylko wtedy, gdy chwiejnym krokiem opuszczaliśmy krzeselko, z którego pracownik wyciągu pomagał nam wysiąść, ale także każdego wieczora powracał do tego przeżycia, do tego upragnionego przez nas luksusu, do tego, że dzięki tej jeździe byliśmy napełnieni erotycznym snem, trwającym przez dwadzieścia pięć minut pod górę i tyleż samo w dół za jedyne sześć koron w jedną stronę. Jan Smetana, kiedyś jeździli tam i z powrotem dla samej tej erotycznej jazdy, gdy zstępujące w dół i wstępujące na niebiosa dziewczyny zbliżały się do nas, a potem znowu oddalały, tak iż nigdy nie mogły nas wyminąć, nigdy nie mogły uniknąć naszych pożądliwych oczu, naszych spojrzeń wstecz, tak jakbyśmy chodzili po corso, gdzie spojrzenia wychodzą z naprzeciwka, a potem jeszcze za siebie... otóż Jan Smetana powiedział mi w czasie jednej z ostatnich jazd, że to, co tutaj przeżywamy, to jest „René Magritte”, jeden z jego obrazów, na którym z nieba spadają jak deszcz panowie w melonkach i garniturkach. Zwierzył się mi, że miał sen, iż stał tam na dole pod Groniem i nikt nie jechał kolejką ani w górę, ani w dół, tylko puste krzesła wyciągu przesuwały się, a potem przyszło sześćdziesięciu René Magritte'ów i jeden po drugim wsiadali i jechali w górę, a Jan Smetana, gdy pierwszy z owych sześćdziesięciu René Magritte'ów zaczął zjeżdżać w dół, więc w tym momencie, gdy pierwszy René Magritte mijal się z ostatnim René Magritte'm, w tym momencie, gdy się ten korowód mijal, no więc w tym momencie miał ochotę malować na cześć René Magritte'a... I mnie, który muszę teraz brać proszki nasenne, a mimo to nie mogę zasnąć i nad ranem zjawiają mi się obrazy, których się lekam lub które, lekając się, akceptuję, ponieważ nie inne-

go zrobić nie mogę, no więc znowu zjawil mi się ten wyciąg na Groni i śniłem wariacje na temat snu Jana Smetany i też widziałem, że nikt nie jedzie ani pod górę ani w dół, tylko wyciąg nadaremnie turkoce i chrzęści, a cyfry na oparciu krzesel wznoszą się w górę i widzę, że przy tym wznoszeniu numery są coraz niższe... i w tym momencie ujrzałem, że tam na górze stoi Goethe, a tam na dole, gdzie stałem we śnie, zobaczyłem także Goethego, w tym samym wieku i ubraniu, ujrzałem, że obaj dają sobie znaki, że wsiadają równocześnie na górę i na dole do wyciągu, i ujrzałem, jak ci dwaj panowie Goethe zbliżają się do siebie i widziałem, jak nadchodzi chwila, gdy zbliżają się do siebie, gdy niemal mogą podać

sów dzieciństwa, najpierw był to chłopiec w czerwonym paltociku, w czarnym kapeluszu z kogucim piórkiem na głowie, po nim zaraz chłopiec w marynarskim ubranku, a potem student w eleganckim garniturze... Wszystkie te fazy mojego życia w ciągu sześćdziesięciu lat sadzałem na wznoszące się ku niebu krzesła z numerami, które przy wznoszeniu się malały, a kiedy już tam na górze zeskoczył chłopiec w czarnym paltociku ze złotymi guzikami i w czarnym kapeluszu ozdobionym kogucim piórkiem, to dawał mi znak... i w ten sposób wskakiwałem do wyciągu ja sam, lysiejący starzec z dobrodusznym uśmiechem i patrzyłem w górę i widziałem plecy sześćdziesięciu męskich postaci, jakby wchodziły przede

pociągi mijające się na nie-realnej stacji, tak jak ja mijam się sam ze sobą, widzę tylko i wyłącznie swoją twarz i postać, widzę samego siebie z tyłu a potem także z przodu, sam siebie odejmuję, aby znowu się dodać, a gdy tam na górze zeskakuje jako ostatni z łańcuszkowego wyciągu, obejrzawszy się, widzę, że ta moja droga, po której wzniosłem się na niebiosa, jest pusta, a jednak tam na dole zeskakuje chłopiec w marynarskim ubranku i macha w moją stronę marynarską czapkę... a potem każda z tych postaci, która zawsze jest młodszą ode mnie, każda z tych sylwetek, macha w moją stronę. Potem cały ten łańcuch zstępuje gdzieś w dół w jakąś otchłań, pod ten gigantyczny ciężarek... a ja w tym



Ilustracja: ALEXANDER PIONTEK

sobie ręce... i spostrzegłem, że mijają się tak, jak to się naprawdę przydarzyło Goethemu, gdy jechał do Włoch, a jego powóz spotkał się z powozem, który wracał z Włoch i w ten sposób Goethe spotkał samego siebie, po czym odnotował to niezwykle spotkanie... I ja wiedziałem w tym momencie nad ranem, że jeszcze raz zostanie nagrodzony za tę swoją bezsenność, za ten pot, za ten strach, że przy zamkniętych z wysiłkiem powiekach mam pod nimi oczy otwarte jak złocenie rozwarłte, patrzące... I jeszcze raz ujrzałem tę opuszczoną kolejkę na Groniu, a mechanizm pracował, kółka się kręciły, puste siedzenia sunęły w górę i znowu opadały w dół, numery na oparciach pod górę malały a w dół rosły i ja w tym śnie stałem tam na dole, a potem na każde krzesło sadzałem samego siebie z cza-

mną do nieba po Jakubowej drabinie, widziałem plecy i widziałem głowy moich sześćdziesięciu corocznych wizerunków... ale równocześnie wstępując w górę po Jakubowej drabinie, widziałem jak z przeciwka, z niebios zstępuję ja sam jako chłopiec w czerwonym paltociku i widziałem nagle, jak te dwa korowody mojego życia mijają się, widziałem jednak to, co najważniejsze, że do mnie, starca, zbliża się teraz chłopiec w czerwonym paltociku i że teraz, gdy już moglibyśmy sobie podać rękę, tylko na siebie patrzymy, i rzeczywiście, to ja jestem tym wstępującym w górę i tym, który teraz po Jakubowej drabinie zstępuje w dół na ziemię i w ten sposób tych moich sześćdziesiąt lat mijają się ze sobą i ja widzę tę smutną a zarazem radosną konfrontację, ten połamany żamek błyskawiczny, te dwa

śnie stoję tam na górze, a kolejka posuwa się i wszystko na niej turkoce i błyszczczy... W tym porannym śnie zjawil mi się także Jan Smetana, błogo się uśmiechał, miał zamknięte oczy, a ja mu powiedziałem... Wyjść znaczy narodzić się, wejść znaczy umrzeć... jak uczy Taote-t'ing... Wyciąg krzeselkowy na Groni, bakelitowe krzeselka, koralowoczerwone, błękitnogniatowe, bananowozółte, a na oparciach czarne cyfry... Wszystko co się oddała, na nowo wraca... Wyciąg krzeselkowy na Groni.

Przełożył:  
**ANDRZEJ  
BABUCHOWSKI**

## Teresa Truszkowska SZKOŁA TAŃCA

W bocznym uliczce starego miasta niepozorny napis na murze: „Szkoła tańca”. Wchodzę powoli po krętych, źle oświetlonych schodach na pierwsze piętro. Spoza drzwi dolatują dźwięki muzyki. Ta sama muzyka prowadzi mnie do sali, gdzie ćwiczą tancerki. Uchylam drzwi: tłum kobiet w krótkich białych spódniczkach ćwiczy przy drążkach naprzeciw luster pokrywających jedną ścianę sali. Figury mają zgrabne i młodzieńcze, ale ich twarze są pomarszczone, policzki obwisłe, szyje zwiotczałe. Rzadkie siwe włosy upięte w wysoki kok z tyłu głowy.

Stają nie śmiać odetchnąć ani poruszyć się. Tancerki lekko wybijają takt stopą, wykonują piruety, skomplikowane pasy. Lustro powieliła je w nieskończoność. Ciała wciąż lekkie i zwinne. Spłatanie drogi przywiodły je tu, poprzez lata, do tej sali bieli i szkła. Przewroczyły horyzonty luster, zarysy nie do odróżnienia od ta. Szelest tiulu, balerinki ledwie muskają posadzkę. Sztuczny uśmiech na białych ustach. Zapach perfum. Kolyszące się głowy. Kolumny szyi nad przepaścią czasu. Gesty dobyte z dna. Białe ramiona wynurzają się na powierzchnię. Nietrawność. Przyspieszony rytm oddechów, strużki potu na czole i plecach. Chłodne palce spokojnie rysują w powietrzu zmyślone kwiaty i ptaki złudzeń. Przewlekają nie śmierci przez ucho igielne momentu.

# Nowa powieść noblisty

**CAMILO JOSÉ CELA: Mazurek dla dwóch nieboszczyków, tł. Elżbieta Komarnicka, seria: Współczesna Proza Światowa, PIW, 1990.**

„Już ponad dziewięć miesięcy mży wolno i bezustannie na polne trawy i na szyby mojego okna, mży, ale nie jest zimno, to znaczy nie za bardzo zimno; gdybym umiał grać na skrzypcach, spędzałbym wieczory grając na skrzypcach, ale nie umiem; gdybym umiał grać na organkach, to wieczorami grałbym na organkach, ale nie umiem. Jedynie, co umiem, to grać na dudach, ale na dudach nie gra się w domu. Więc jako że nie umiem grać ani na skrzypcach, ani na organkach, a na dudach nie gra się w domu, spędzam wieczory w łóżku wyprawiając świnstwa z Benicją (później powiem, kim jest Benicja, która ma sukni jak kasztany) (...)”.

Wszystkim, którzy nie umieją grać na skrzypcach ani na organkach, ani nawet na dudach i który na domiar złego nie mogą pozwolić sobie na żadne świnstwa z żadną Benicją, polecić można ostatnią powieść ubiegłorocznego noblisty Camilo José Celi, „Mazurek dla dwóch nieboszczyków”. Idealna to lektura na tegoroczne lato.

W Polsce wydano dotychczas dwie powieści Camilo José Celi: „Rodzina Pascuala Duarte” i „Ul”. Powszechnie

uważa się go za pisarza hiszpańskiego (przymiotnik tyleż unikany w samej Hiszpanii, co nadużywany poza jej granicami) przede wszystkim ze względu na język; hiszpański? — by nie obrazić uczuć ogromnej części mieszkańców Hiszpanii, powiedzmy raczej kastylijski. Rzeczywiście, Cella posługuje się językiem kastylijskim, po mistrzowski zresztą, ale nie zawsze jego proza jest hiszpańska. „Mazurek dla dwóch nieboszczyków” to utwór galicyjski: powieść o Galicji napisana przez Galicjanina.

Jej tematem jest zbrodnia i zemsta, będąca zbrodni naturalnym, przez wszystkich akceptowanym, wręcz pożądanym następstwem. Tło historyczne stanowi, nie pierwszy już raz u Celi, wojna domowa 1936 roku. Opisane wydarzenia mają miejsce w Galicji, a głównymi ich bohaterami są członkowie rodu Guxindów: „Tu w okolicy wszyscy jesteśmy mniej lub bardziej spokrewnieni wyłączwszy Corrouposów, z których każdy bez wyjątku ma wykwit świnstwa na czole”. Guxindowie są bardzo liczni, a ich losy spletały się z wydarzeniami historycznymi. Tak więc Raimundo z Casan-

dulfów i jego kuzyn Camilo uczestniczą w wojnie domowej po stronie falangistów, natomiast Lazaro Codesal zginął w Maroku podczas wojny hiszpańsko-marokańskiej o Melillę: „Linia gór zatarła się, kiedy zabito Lazaro Codesala, od tego nieszczęsnego dnia nikt jej już więcej nie zobaczył, według mnie przeniesiono ją daleko stąd, może nawet za przełęcz Candá i Padornelo, po drodze z Sanabrii”. Wspomina się też jedynego rodzinnego świętego — Fernandez — zamęczonego w XIX wieku w Damaszku, który „zanim został męczennikiem, miał dużo dzieci, mówią, że jedenaścioro”. O zabójstwie dokonany przez Puszczyka, Corroupos, na dwóch Guxindach: Chojraku i Cidranie Segade, dowiadujemy się na samym początku powieści: „Gaudencjo w burdelu, gdzie zarabia na życie, prezentuje całkiem urozmaicony repertuar, ale jest taki jeden mazurek Ma petite Marianne, którego zagrał tylko dwa razy, w listopadzie 1936 roku, kiedy zabili Chojraka, i w styczniu 1940, kiedy zabili Puszczyka. Nigdy więcej nie chciał go grać”.

Cella ograniczył znacznie interwencję narratora, oddając głos bohaterom. To oni opowiadają historię na przemian, chaotycznie, wplatając nieustannie nowe wątki, okraszając ją suto anegdotami, niesamowitymi faktami, czasami jakąś legendą, innym znowu razem po prostu plotką. Mają te opowieści urok i magię „ludzkiego gadania”, niespiesznego i pozbawionego emocji, zawsze ściśle związanego z rzeczywistością. Pełno w nich konkretów: imion, przydomków, nazw miejscowości, dat. Przesycone są prostym, jakby mimowolnym humorem.

Z pozoru powieść pozbawiona jest wyraźnej konstrukcji. Rozpisana na wiele głosów fabuła zdaje się nie istnieć. A jednak w miarę czytania zaczynamy dostrzegać główny wątek, wy-

odrębny przez zabieg wielokrotnego opowiedzenia wchodzących w jego skład wydarzeń. W tym samym procesie wyłania się dominująca w przedstawionym świecie zasada moralna: „Tak, to jest prawo Boże; ten, kto przelewa krew, zatrąwa własną, a w końcu we krwi się topi. A ponadto nie ma dokąd uciec, bo wszystkie drzwi świata są przed nim zamknięte. Trzeba trzymać się powietrza, bo lepiej być żywym niż śmiercią”.

Uogólny jest język powieści: mówi się tu o wszystkim wprost, bez przemilczeń i eufemizmów. Dosadność i wulgaryzmy nie są jednak ostentacyjne. Cella ma doskonale wyczuć rejestrów, jako autor „Diccionario secreto” (Słownika intymnego) jest stałym bywalcem zakazanych rejonów języka, po których porusza się z nadzwyczajną swobodą. Twardy to orzech do zgryzienia dla tłumacza, przed którym stoi nie lada zadanie w miarę wiernego oddania stylu autora bez nadwężenia przy tym polskiego, nader czułego ucha, a także bez popadania w tanią stylizację. Autorka polskiego przekładu, Elżbieta Komarnicka, sprostała temu zadaniu w sposób doskonały.

Akcja powieści przebiega niepostrzeżenie, w rytmie rozmów, których rytm z kolei wyznacza padający bezustannie, „wiecznie jednakowo” deszcz. Być może dlatego ma ona moc hipnotyzująca. Zniewała swym monotonnym tempem i obietnicą wciąż nowych historii, wciąga i zaciekawia w sposób dyskretny, o czym czytelnik przekonuje się dopiero pod koniec. Nie czyta się tej prozy jednym tchem, ale też nie sposób się od niej oderwać. Cóż, dobra literatura ma w sobie coś...

Urszula  
Kropiwicka

# Podróże do niebios

**RYSZARD PRZYBYLSKI: Homilie na Ewangelię dzieciństwa. Szkice z teologii biblijnej malarzy i poetów. Paryż, 1990.**

„Dzisiaj mówię homilietę można zastąpić esejem” — to chyba jedno z najważniejszych zdań Ryszarda Przybylskiego z jego „Homilii na Ewangelię dzieciństwa”. Najdobitniej wyraża ono sens i formę tej niezwykle książki, najbardziej też zastanawia i zdumiewa...

Zaskakujące to bowiem zestawienie — esej i homilia. Homilia, wyjaśnia Ryszard Przybylski, to mowa wyjaśniająca Pismo Święte, to rozmowa o Bogu i z Bogiem. Głos homiliety rozbrzmiewa w Kościele, jest inspirowany boskim natchnieniem, jest mową świętą, która wyjaśnia tajemnice prawd wiary, ukazuje słuchaczom drogi ku ich przeniknięciu.

A esej? Niezwykle są losy tego tak popularnego, wręcz wszechobecnego gatunku. Wiek XX jest zapewne w literaturze wiekiem eseju. Esejem i o eseju napisano już bardzo wiele. Szkielet tego gatunku, zarówno formy jak i treści najlepiej chyba wyrażają stan świadomości współczesnego pisarza i jego czytelnika. Esaj to Proteusz literatury — kapryśnie łączy najdziwniejsze z pozoru i zaskakujące tematy i wątki; hybrydyczna budowa, pełna erudycyjnej ornamentacji wyraża stan dekadentckiego chaosu współczesnej kultury, wreszcie — jest to gatunek pełen nieufności, niechęci wobec ustalonych hierarchii, systemów. Krytycyzm, zawarty immanentnie w postawie esajisty wyklucza poddanie się dogmatowi czy ideologii, które pragną doprowadzić myśl ku konsekwencjom ostatecznym i nieodwołalnym. Esaj wyraża w pewnym

sensie strukturę dzisiejszego świata — esej jest światem. Dlatego też tylko ten gatunek próbuje łączyć, ogarniać i rozumieć bogactwo doświadczeń cywilizacyjnych, wobec których inne formy literackie są bezradne. Tylko esej, zauważał Adorno, zachował dziecięcą naiwność kontemplacji rzeczywistości, sztukę lektury świata nie skażonej mitami secentyzmu. Stąd jego ekspansja, wkraczanie na obszary zastrzeżone powieści czy poezji. Czyżby tylko esej gwarantował sens i znaczenie literaturze? Trudno przesądzać, ale świadczyłyby o tym przykłady tych poetów, którzy, jak Miłosz, Paz, Brodski, coraz chętniej posługują się esejem, jakby nieufni w święte słowo poezji.

Czy jednak esej może rozmawiać o prawdach wiary? Czy potrafi przekazywać i nauczać prawd teologii, docierać do sensów sakralnych? Stawiając esejowi takie zadania, Ryszard Przybylski dokonuje niezwyklej nobilitacji tego gatunku, składa mu hołd najgłębszy z możliwych.

Nazwy „homilia” z tytułu książki R. Przybylskiego nie należy bowiem traktować jako retorycznego ozdobnika. „Homilie na Ewangelię dzieciństwa” nie są zwykłymi szkicami z teologii malarzy i poetów, jak głosi podtytuł książki. Celem esajisty nie jest li tylko interpretacja i analiza dzieł, które powstały z inspiracji Biblią. Jako zbiór eseju powiązanych pewnym wspólnym tematem mogłyby szkice Przybylskiego stać się jedną więcej, wielce kunsztowną i erudycyjną, książką o związkach sztuki i Biblii. Tak jednak nie jest, a przynajmniej nie to było celem jej autora.

Esaj staje się homilią. R. Przybylski swoje szkice buduje na kształt homilii,

Ich siedem cykli osnutych jest wokół fragmentów Ewangelii świętego Łukasza i świętego Mateusza opisujących dzieciństwo Jezusa Chrystusa. W tekstach R. Przybylskiego z łatwością rozpoznamy, znane z klasycznego kazania, podziały dyskursu homiliety na część wstępną, rozpoczynającą się cytatem biblijnym, który stanowi oś tematyczno-kompozycyjną każdej homilii; następnie na rozwijające główne myśli opowiadanie, dowodzenie i polemikę, wreszcie — następujące po nich zakończenie z sakramentalnym słowem modlitwy. Równie charakterystyczny jest patos i sposób obrazowania. Co najważniejsze — R. Przybylski dąży do wyjaśnienia znaczeń wydarzeń biblijnych tak, jak każe homilietyka: szuka sensu literalnego, historycznego perykop składających się na opis dzieciństwa Jezusa Chrystusa oraz ich sensu głębszego, duchowego, pozwalającego współczesnym pojąć znaczenie Tajemnicy Wcielenia dla ich życia doczesnego jak i wiecznego. Jego cel to „odnaleźć głęboki, ponadczasowy sens naszych zwykłych przeżyć”. Jest w tym R. Przybylski wskrzesicielem i w pewnym sensie kontynuatorem wielkiej tradycji kazania literackiego, tworzonej przed wiekami przez Skargę czy Orzechowskiego.

Co jednak niezwykle — homilietę dokonując egzegezy Pisma Świętego trzyma się jego litery, ono jest dla niego natchnieniem, gwarancją prawdy, najwyższym autorytetem. Hermeneutyka biblijna autora „Homilii...” opiera się natomiast na interpretacji arcydzieł. R. Przybylski dokonuje egzegezy teologii dzieł Fra Angelico, Botticellego, Singiera, Mantegni, Runego, Miliona, Eliota, Audena, Mickiewicza i Brodskiego. Rozumiejąc sakralny wymiar ich twórczości homiliety-esejisty dociera do sensów Ewangelii dzieciństwa. Dla Przybylskiego analiza teologii arcydzieła nie jest celem autonomicznym, nie jest też zwykłym retorycznym exemplum, wzmacniającym perswazyjną stronę jego kazania. Czyżby zdarzenie biblijne było dla artysty pretekstem dla ukazania własnego kunsztu? Albo zwykłą, umoralniającą ilustracją? Homilietę odrzuca takie podejrzenia. Z ironią i dystansem zostawia je „uczonym bibliotom”. Esajista przewrotnie podkreśla prostotę „przystługującą homilietom”, wiarę, która odrzuca naukowe mity dzielące Biblię na świat bajki i świat historii. Ta „prostota” nakazuje mu widzieć w arcydziele znak obecności Słowa tu i teraz. Przybylski za miśtykami powtarza, że „namalować zdarzenie ewangeliczne znaczy uobecnienie je”. Obraz Botticellego czy wiersz Mil-

tona mówiące o Bożym Narodzeniu nie są zwykłym komentarzem — są wizją, która współtworzy przestrzeń świętych wydarzeń, która jest ich wiarygodnym świadectwem, odkrywając to, o czym nie powiedzieli ewangeliciści. Jak mało mówi Pismo o dzieciństwie Jezusa Chrystusa, jak wiele zobaczyli artyści. Artysta dopełnia, współtworzy tekst Biblii. To gest zuchwały, ale nie świętokradczy — o ile genialny. Arcydzieło bowiem to genialne świadectwo rozmowy nakazanej nam przez Boga. Chrystus to Wieczny Rozmówca — „Skoro jest jednym z nas, zostanie potraktowany jak każdy z nas. Skoro rozmawia, można mu zadawać pytania. Skoro pyta, można mu odpowiadać (...)”. Stąd też płynnie zuchwałości eseisty i wiara, że esej potrafi być rozmową o Bogu. Z kim? Z każdym z nas współczesnych, ale chyba szczególnie adresatem tych pięknych kazań jest intelektualista, potomek Wielkiego Maga z wiersza Eliota, wieczny wędrowiec, nowoczesny poganin. To do niego eseista kieruje słowa napomnienia, przestrogi, „pobudki” „żyją (...) w swoim chaosie jak Mag żył w swoim. Widzą znak, ale nie słyszą słowa. Niemal każdego dnia widzą rozpiętego na Krzyżu Chrystusa, ale nie znają jego nauki. Mogą usłyszeć. Nie muszą już czekać na mowę Pana, ale są leniwi, zasłuchani w szum swego krótkiego czasu i śpią”.

Homilia jest częścią mszy świętej podprawianej ku czci Boga. Podobna jest rola eseju Ryszarda Przybylskiego. Równocześnie autor „Homilii na Ewangelię dzieciństwa” odprawia jakby dwie msze. Książka jego wyraża wiarę w prawdy wiary, ale równie mocno głosi pochwałę Sztuki. Kolejna to książka Przybylskiego głosząca tak niezwykle wiarę w potęgę artysty, piękną manifestację wiary w taką sztukę, która wbrew chaosowi swej epoki poszukuje esencji zjawisk i rzeczy, porządkuje świat i niczym esej kończy się pełnym harmonii i ufności „amen”. Wreszcie — „Homilie na Ewangelię dzieciństwa” Przybylskiego powstawały między grudniem 1981 roku a marcem 1984 i być może są najbardziej głębokim świadectwem podróży intelektualnej i duchowej polskiej inteligencji tych lat, podróży odkrywającej światy wartości katolicyzmu i kultury, poszukującej świętości i sensu w rzeczywistości urągającej ich istnieniu.

Maciej  
Urbanowski



## Aleksander Galicz

Gdy w mieście blask już święta niknie,  
Gdy śpią i grzeszni, i pokorni,  
Wówczas państwowy lamus młeczkiem  
Wypływa za pomnikiem pomnik.  
Wahadeł zwykły bieg zamiera,  
Wskazówki kręcą się odwrotnie.  
I jeden pomnik kroczy teraz,  
lecz powielony tysiąckrotnie.

I werble lomocą, werble lomocą,  
Strach, tararach, tararach!

Dreszcz, mróz, sto stopni, nagłość wstrząsu —  
Uchyłę okno, wyjrzę przez nie,  
O! — generalissimus z brązu  
Blazeńską wiedzie swą procesję.  
Tu w brzoju on, a tam w marmurze,  
Tu z fajką — tam bez fajki w zębach,  
A za nim, jak pienne morze,  
Gipsowe monstra stają dęba.

I werble lomocą, werble lomocą,  
Strach, tararach, tararach!

Rwie falą kolo domu teraz  
Chlam, jaki tu sprzątačka zniosła:  
But zdarty rytmem marszu wzbiera,  
Słrozy się dumnie okrucz węża.

A on — na Miejsce Kaźni\* wkracza,  
Geniusz wszech epok, wszech narodów,  
By tak, jak w starych dobrych czasach  
Odbierał pochód swych upiorów.

I werble lomocą, werble lomocą,  
Strach, tararach, tararach!

Przedświt Ojczyzny mej różowy  
Sygnały jakieś rania wizgiem.  
Odchodzi z wolna ten brązowy,  
Czają się tylko tamci, w gipsie.  
Choć lada co już z nich zostało,  
Gips rysy ich przechował skrzętnie.  
Dać by im znów żreć ludzkie ciało,  
A wielkość znowu w nich zatętni.

I werble zawarczą, werble zawarczą,  
Strach, tararach, tararach!

\* Historyczne miejsce straceń (Lobnoje Miesto), nie  
opodal soboru Wasyla Błogosławionego (przyp. A.N.)

### OBLOKI

Obłoki płyną w siną dal,  
Zda się jak w kinie, ot, niespiesznie,  
Ja kurczę po gruzińsku ćpam,  
Koniaczek mi półmetrem cieknie.

Do Abakanu, niby dym,  
Leniwie ciągną te obłoki,  
Pewnie tam, w górze, ciepło im,  
A mnie — mróz przejął już na wieki!

Podkawa wmarzłem w sanny ślad,  
W lód, który pryskał w takt oskarda;  
Nie darmo aż dwadzieścia lat

Przegarowałem w tamtych lagrach!  
Nadal mi w oczach szreń się skrzy!  
W uszach — zgiełk głosów ciągle mam...  
Ech, ananasa dajcie mi,  
No i koniaczku z dwieście gram!

Obłoki płyną w siną dal,  
W te błogie strony, do Kołomy;  
Dla nich adwokat — kiepski żart,  
A już amnestia — czyste kpiny.

Ja — żyję sobie prima sort,  
Dwadzieścia lat — jak dzień zleciało!  
W piwiarni siedzę niczym lord  
I parę zębów mi zostało!

Na wschód obłoki wietrzyk gna,  
Nie znają renty ani strapien...  
Ja — co czwartego przekaz mam,  
Z dwudziestym trzecim — drugi lapie.\*

Więc w owe dni, tak jak i ja,  
Pół kraju gdzieś po knajpach pije.  
A nasza pamięć, w siną dal,  
Obłoków gęstwą niebem płynie...

Hum.

ANDRZEJ NOWAK

\* 4. i 23. każdego miesiąca byli i rehabilitowani więźniowie obozów karnych w ZSRR otrzymują pocztą rentę. (przyp. A.N.)

# Nowa mapa Europy

(Cđ. ze str. 1)

sity robotczej, zaś efekty pracy korzystne będą jedynie dla siedzących w Paryżu czy Brukseli szefów. Celowo przerysowuję tutaj ten obraz, lecz czynię to, by pokazać, z jakimi problemami muszą się uporać ci wszyscy teoretycy i praktycy przemian europejskich w tym momencie, w którym muszą odpowiedzieć na następujące pytanie: ile kosztuje rynek?

Jednym z kosztów tego przedsięwzięcia będzie fala emigracji, jaką w najbliższych latach będzie musiał wchłonąć Zachód. Sytuacja w tej dziedzinie stanie się dla Europy Zachodniej podobna do tej, z jaką mają do czynienia Stany Zjednoczone, do których przenika bez przerwy — i na ogół nielegalnie — olbrzymia ilość uchleknierów z Ameryki Łacińskiej przede wszystkim z Meksyku. I właśnie Europa Wschodnia — przede wszystkim zaś Związek Sowiecki — może stać się dla Wspólnoty Europejskiej takim właśnie Meksykiem. Szacunkowe obliczenia mówią już w tej chwili o ewentualnych

## 30 milionach potencjalnych emigrantów ze Wschodu

Obawiać się należy, że są to dane zaniżone. I można być pewnym, że wszelkie podejmowane w tej dziedzinie próby regulacji prawno-administracyjnej mają jedynie charakter działań pozornych — niezależnie bowiem od ograniczeń i restrykcji, jakimi przed tym niebezpieczeństwem próbuje się bronić Zachód, rzeczywistość zawsze będzie bardziej skomplikowana niż przepisy, w które usiłuje się ją przezczas zamknąć. Ustalenia, podjęte przez odpowiednich urzędników na konferencji w Wiedniu poświęconej sprawom regulowania przepływu ludzi między wschodnimi i zachodnimi obszarami Europy, z pewnością tego problemu nie są w stanie rozwiązać. Parcie w kierunku dobrobytu — niezależnie od tego czy jest to dobrobyt rzeczywisty, czy tylko mniemany — będzie w dającej się przewidzieć przyszłości istotnym czynnikiem skłaniającym ludzi ze Wschodu do migracji. Zapowiedź tych problemów pojawiła się w roku 1990, gdy przed zjednoczeniem Niemiec napłynęła do Berlina — wówczas jeszcze wschodniego — olbrzymia fala uchodźców z Rumunii; część tej fali zatrzymała się po drodze w Polsce i innych krajach.

W kontekście tych przeobrażeń pod znakiem zapytania staje zagadnienie bezwizowego ruchu ludności. Prędzej czy później spowoduje to postawienie

tej sprawy na porządku dziennym konferencji dotyczących realizacji praw ludzkich: wszelkie restrykcje wizowe — jak choćby te, które w roku 1991 obowiązywały wybierających się do Europy Zachodniej Polaków — są w zasadzie sprzeczne z zagwarantowanym w międzynarodowych umowach prawem do swobodnego podróżowania i wybierania miejsca zamieszkania. Przepisy, które w znakomity sposób służyły Zachodowi jako argument przeciw praktykom komunistycznym, w tej chwili przez ten sam Zachód są używane jako bariera ochronna przed naporem biedy i rozpaczony ze Wschodu. To kolejny paradoks naszego czasu i kolejne pytanie o szanse realizowania w zmienionych politycznie warunkach tych wartości, o których naruszanie tak niedawno jeszcze wygodnie było oskarżać totalitaryzm: dziś w dość drastyczny sposób naruszane są one przez demokrację. O ile bowiem nie jest problemem zniesienie przepisów wizowych w stosunku do społeczności nielicznych — takich jak czeska, słowacka czy węgierska — to już w odniesieniu do 40-milionowej społeczności polskiej lub olbrzymiej sowieckiej sprawa staje się skomplikowana, budzi liczne obawy, stwarza realne zagrożenia dla zachodniego ładu społecznego. Jeśli do tego dodać niebezpieczeństwo odrodzenia się spowodowanych nową „wędrowną ludów” nacjonalizmów, wówczas problem ten ujawnia się w całej swej jadowitości.

W jakiejś mierze tę wielką falę migracyjną mogłyby powstrzymać podejmowane na Wschodzie inwestycje. Jak trudny to problem, można się przekonać śledząc przemiany zachodzące w dawnej NRD, kraju, który stał się swoistym laboratorium europejskich przeobrażeń — prywatyzacja upaństwowionej dotąd gospodarki, wprowadzenie nowych zasad pracy, zachwianie poczuciem względnego bezpieczeństwa: wszystko to są sprawy niezwykle skomplikowane i wymagające sporej ostrożności. Przypominam sobie moje dyskusje z NRD-owskimi przyjacielami prowadzone w przeddzień likwidacji berlińskiego muru: wszyscy oni — a w każdym razie ich większość — wyobrażali sobie przyszłe przemiany w ten sposób, że zwiększeniu porcji wolności towarzyszyć będzie zachowanie „podstawowych zdobyczy socjalizmu”. Zapewne trzeba będzie jeszcze

wiele czasu, by ludzi nauczyć, że wolność i poczucie bezpieczeństwa tylko w zupełnie wyjątkowych wypadkach mogą występować razem i że zwiększenie sfery wolności oznacza jednocześnie

## zwiększenie ryzyka życiowego

także ryzyka w życiu zawodowym. Samo wprowadzenie mechanizmów rynkowych, co niektórym teoretykom wydaje się rzeczą wystarczającą, jest niestety dopiero wstępnym etapem rzeczywistych przemian systemowych. Nie mogą się one udać tak długo, jak długo nie nastąpi istotne przemiany w sferze świadomości społecznej przede wszystkim zaś do momentu, w którym nastąpi akceptacja osobistej odpowiedzialności za własny los. Bez tej akceptacji w krajach Europy Środkowej i Wschodniej możemy być świadkami nasilającej się fali wystąpień rewendykacyjnych, nie mających oparcia w rzeczywistych możliwościach gospodarki tych krajów — z takimi strajkami i protestami mamy już do czynienia właściwie na całym tym obszarze. Ale też jednocześnie właśnie w zjednoczonych Niemczech coraz dobitniej społeczeństwo i rząd uświadamiają sobie fakt, że „bogaci” będą musieli ponosić koszty zachodzących przemian i że „opodatkowanie na biednych” staje się rzeczą niemal nieodzowną — obietnice składane przez rząd kanclerza Kohla, iż zjednoczenie Niemiec nie przyniesie wzrostu podatków, okazały się, zgodnie z przewidywaniami jego oponentów z roku 1989, czystą fikcją. Warto może zdać sobie sprawę z faktu, iż nie jest to wyłącznie lokalny problem niemiecki i że będzie on — jeżeli rzeczywiście mamy zmierzać ku zjednoczeniu Europy — miał wymiar uniwersalny. W tym kontekście musi się zatem pojawić pytanie o to, czy społeczeństwa zachodnioeuropejskie skłonne będą takie koszty zaakceptować, czy też przeważą w nich tendencje do odgródnienia się od sfery ubóstwa rodzajem kordonu sanitarnego.

Na naszych oczach kształtuje się obecnie nowa mapa Europy. Jeżeli ograniczymy się w jej oglądaniu jedynie do aspektów politycznych, wówczas niewiele zrozumiemy z zachodzących obecnie przemian, dojrzymy jedynie ich powierzchnię. Na mapie politycznej przybywać zapewne zaczną w najbliż-

szym czasie nowych barw, którymi zamalowuje się powierzchnie państw. Gdy jednak zmyjemy te kolory, wówczas spod powierzchni wyłoni się mapa fizyczna, na której granice krajów ledwie są dostrzegalne. Ujrzymy mały obszar ziemi wczepiony w ogromne, potężne ciało Azji skąd w końcu sami kiedyś przywędrowaliśmy i skąd znów zaczną na Zachód sunąć ludzkie pochody. Dyskusje o tym, czy Rosja do Europy należy, czy trzeba ją z tego porządku wyłączyć, staną się niebawem dyskusjami czysto akademickimi. Jestem przekonany o tym, że w przewidywalnej — i chyba raczej niedalekiej — przyszłości w Rosji nastąpi

## ostateczne załamanie systemu komunistycznego

nie jest wykluczone, że towarzyszyć temu będą różne, mniej lub bardziej w całej Europie i w świecie odczuwalne wstrząsy, jednakże nie zmieni to efektu końcowego i kraju, który jedynie przez kilka miesięcy roku 1917 próbował budować porządek demokratyczny, w końcu przekroczy magiczną granicę, za jaką zaczyna się droga ku europejskiemu parlamentarizmowi.

Wielu Europejczyków czeka na ten moment z mieszaniną nadziei i lęku. Nadziei — gdyż złamanie totalitarnego czy autorytarnego porządku stanowi zarazem okiełznanie imperialistycznych skłonności tego wielkiego kraju i oddalenie niebezpieczeństwa, w cieniu którego Europa żyła ostatnie dziesiątki lat. Lęku — gdyż fakt ten oznaczać będzie dla Europy nowe wyzwanie, a zapewne także konieczność płacenia. I — jak zawsze w takich wypadkach — może się w efekcie okazać, że ryzyko, jakie się w ten sposób podejmuje, jest zbyt wysokie, zaś to wszystko, co brałszy lub brać będziemy za przemianę demokratyczną jest kolejną pułapką, opisaną zresztą w cytowanym tu wierszu Błoka:

Przed piękną Europą, pośród kniej,  
Po jarach, pośród sosen, dębów.

My rozstąpimy się, by grozić jej  
Tą naszą azjatycką gębą!

Leszek Szaruga

# ZNANE, NIEZNANE

Anna Baranowa

To, co pokazano na głównej ekspozycji towarzyszącej krakowskiemu obradom KBWE, można określić formułą *déjà vu*. W końcu nie byłoby w tym nic dziwnego. Obecny okres, zwany postmodernizmem, sankcjonuje wszelkie zapożyczenia, jest czasem powracających form i tematów. A jednak tytuł wystawy — „EUROPA NIEZNANA” — pozwalał spodziewać się czegoś innego.

Ekspozycja ta gromadząca prace 45 artystów z 30 krajów Europy i ustytuowana — z braku jednego pawilonu wystawowego — w dwóch, oddzielonych linią Plant, miejscach — należy do gatunku wystaw ambitnych. Aby tak duże przedsięwzięcie mogło dojść do skutku, musiały zostać poruszone wielkie siły — od krytyków, międzynarodowych stowarzyszeń twórczych i galerii, po władze krajów KBWE i ich przedstawicielstwa dyplomatyczne. Anda Rottenberg, komisarz wystawy i jedna z bardziej wpływowych polskich krytyków, potrafiła w krótkim czasie skoordynować te wielopiętrowe działania i stworzyć przegląd o zasięgu rzeczywiście imponującym.

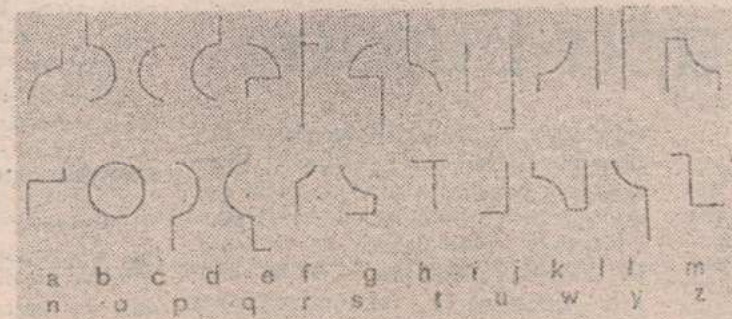
Założeniem programowym ekspozycji było ukazanie postaw reprezentatywnych dla młodych artystów europejskich (tych, którzy nie przekroczyli 35 lat życia) po upadku muru berlińskiego, a więc w Europie odżywiającej po półwieczu jaitańskiego paraliżu. „Usunięcie bariery systemowej dzielącej Europę — pisał Anda Rottenberg — wymaga zrozumiałe zaciekawienie i potrzebę wymiany doświadczeń. Stojmy w obliczu bliskiego zjednoczenia tego małego kontynentu, kiedy pod jedną ogólną nazwą kryć się będzie nieprzebrana wielość kulturowych i artystycznych doświadczeń”. Na krakowskiej wystawie artyści z Niemiec, Włoch, Szwecji, Holandii sąsiadują z tymi, którzy rzeczywiście przychodzą ze świata „po drugiej stronie lustra”. Mapa artystyczna kontynentu została pokazana tu w całości, antycypując niejako rzeczywistość polityczną: od Islandii po Turcję, od Hiszpanii po Związek Radziecki, z uwzględnieniem jako odrębnych podmiotów Litwy, Łotwy, Estonii, Białorusi i Ukrainy. Jest to niewątpliwa zasługa tej wystawy — nie pierwszej, ale

chyba najbardziej „zintegrowanej” spośród całego szeregu ekspozycji, które miały w ostatnich latach za cel odbudowanie dialogu pomiędzy podzielonymi częściami Europy. Optymizm polityczny krakowskiej wystawy, która zapowiadała się jako wydarzenie, pozostaje jednak w dysharmonii z jej artystyczną wymową. Rezultat artystyczny skłania raczej do pesymizmu.

Organizatorzy wystawy stawiając zasadnicze skądinąd pytanie, „jak dalece (...) narysowana w Jaltie linia była w stanie zmienić kulturę kontynentu, spajając od tysiącleci podobieństwem religii i alfabetu” i czy podział ten mógł w sposób istotny zaważyć na myśleniu artystów Wschodu i Zachodu, Północy i Południa, starają się zilustrować sakramentalną formułę, przywołującą dla scharakteryzowania swoistości i dynamiki kultury europejskiej. Formułą tą jest oczywiście „Jedność w wielości”. Młodzi artyści z tyłu krajów Europy okazują się rzeczywiście — poza nielicznymi wyjątkami — zdumiewająco zgodni. Panuje tu jeden styl i duch — duch inercji, który rodzi się z wtórności. Pozbawione świadczących sale — zapomnijmy o tłoku podczas inauguracji! — uderzają pustką i nudą form wyczerpanych Brakuje napięć, które towarzyszyć powinny współistnieniu różnorodnych elementów. Jedność krakowskiej wystawy — to jedność zmurniałej.

Dlaczego tak się dzieje, skoro na ten przegląd firmowany przez tyle znakomitości ze świata sztuki i polityki, wytypowani zostali artyści wybijający się, z niemałym już — sądząc po zamieszczonym w katalogu dossier — dorobkiem? Czyżby zawiodły kryteria wyboru? Czy wybór był nazbyt jednostronny? Bo przecież nie jest możliwe, aby nowa generacja artystów wstępująca na forum sztuki w czasach wielkiej przemiany miała do zaoferowania jedynie odzwierciedlenie gesty, aby tych 20- i 30-latków tak bardzo bawiły konformistyczne przeciętne repetycje z pop-artu, konceptualizmu i minimal-artu? Tyle się oczekiwało po ożywieniu wczesnych lat 80., gdy do głosu doszła witalna kreatywność młodych odkrywających na nowo się malarstwa, wymowę indywidualnego gestu — by na powrót znaleźć się w impasie.

Wszystkiemu winien zdaje się być duch Beuysa, tego wykreowanego przez media wieszczka nowej sztuki, który stworzył i narzucił artystycznej młodzieży repertuar obowiązujących materiałów i form. Oto mamy dziwny, podłużny stół-katafalk Mirosława Bałki (Polska) z wmontowaną przez całą długość cynkową rynną; oto metalowa kanapa Wernera Feiersingera (Austria) z towarzyszącym jej, wykonanym z woskowego plastiku, pnem starego drzewa; to znów oble kompozycje z zamkowej pilśni Haraldura Jónssona (Islandia); z ich pobliżu zaś miedziane, gięte półeczki Jari Juvonena (Finlandia) — podtrzymujące zwoiki materiału lub płytki zakrzepłego wosku czy tłuszczu. Nieznosny jest — rodem z pop-artu — skład plastycznych skrzynek do transportu



Władysław Strzemiński: „Projekt alfabetu” (1932 r.)

towarów, wystawiony na publiczny ogład przez londyńczyka Michaela Landy; drażni również banalnością swego pomysłu Guillermo Panque (Hiszpania), który rozrzucił w kącie wiktaury (prawdziwe?), na nich zaś poustawiał niedbale zapakowane obrazy. Podobnie banalna jest Caroline Russell (Wielka Brytania) wystawiająca na trzech szklanych półeczkach trzy różne wielkości opakowania „najlepszych dla niemowląt” Johnson's Cotton Buds. Formami gotowymi posługują się również Rosjanka Maria Serebrjakowa, która zmontowała z czterech tapicerskich krzesel znak krzyża-swastyki. Curiozum banalności stworzyła natomiast Turczynka Hale Tenger — pokazująca jarmarczny assambłaż z pogiętych damskich parasolek i (męskich) przekładni samochodowych (*The dream before*). Czy mamy tu do czynienia z uwiadem wyobraźni, czy też może z cyniczną pojętnością? Obo-

wiązujący *mixed-media-style* — łatwy i czytelny — daje aplauz krytyka i miejsce w galerii, ale nie może być przecież miarą prawdziwej twórczości, która zdaje się być czymś więcej, niż pustą żonglerką form i prostym powtarzaniem rzeczywistości.

Zatrzymajmy się dłużej przy artyście, którego obecność ratuje — moim zdaniem — krakowską ekspozycję. Jest nim jeden z najbardziej twórczych malarzy nowej generacji WŁODZIMIERZ PAWLAK z Warszawy i jego trzy składające się na wymowną całość obrazy: *Alfabet Strzemińskiego* (1991), *Requiem Mozarta* (1990) oraz *W. Strzemiński i K. Malewicz* (1991). I te obrazy cechuje pewne zmęczenie, owo *lassitude* następujące „po święcie” lat 80. Pawlak wraz z kolegami z założonej jeszcze na akademii Grupy wnoszą do „rezerwatu polskiej sztuki współczesnej” nowe wartości i nowy, skandalizujący ton. Swoje obecne obrazy artysta nazywa „ukradzionymi”. Ich forma nawiązuje do unistycznej koncepcji obrazu Strzemińskiego, ale na tym właściwie podobieństwa się kończy. O ile mistrz polskiej

problem stał u tego malarza obecny. Mówią o kondycji artysty, o pesymizmie, o granicach sztuki i wolności. Są to obrazy „cierpiące”. Alfabet Strzemińskiego jest zaszyfrowaną kalumnią. Uproszczone, prawie nieczytelne litery układają się w archaiczny w wyrazie relief. W istocie jest to cytata tekstu Strzemińskiego z koszmarnych nie tylko dla niego lat 50. — o zatraceniu granicy pomiędzy polityką a sztuką, o szerzącym się lajdactwem, o lotrach manipulujących twórczością, niszczącą „nie tylko sztukę”, ale „przed wszystkim człowieka”.

*Requiem Mozarta* to znów nie tyle próba znalezienia malarskiego ekwiwalentu dla genialnego utworu — próby takie skazane są z góry na porażkę — lecz rezultat „wymyślenia się” i „wczucia” w proces powstawania tego zagadkowego dzieła. Pawlak tworzy swoje *Requiem*, podobnie jak Mozart, na przestrzeni lipca i grudnia. Świadczą o tym daty odznaczane w nierównych kalendarzach na bieżym, w miarę jak płótno pokrywa się rytmicznymi, narastającymi powolnie od dołu ku górze napisami białej farby. Nie ma tu nic z żywiołowego patosu właściwego ostatniemu dziełu mistrza z Salzburga. Obraz rozwija się tak, jak działanie dozowane Mozartowi trucizny. Miarowo i konsekwentnie. Efektem jest płótno-relief o wielkiej plastycznej urodzie, magnetyzujące dyskretną harmonią póltonów.

Obraz trzeci wreszcie jest obrazem zranionym. W unistyczną białą ramę o reliefowej strukturze winkrustowanej zostaje czarny kwadrat Malewicza z zaznaczonym pionowym zgrubieniem, nacięciem-blizną.

Nazywając te obrazy „ukradzionymi”, Pawlak przyznaje się implicite do kapitulacji, do impasu. Człowiek to chyba jednak na wyrost. Czy rzeczywiście nie sposób dłużej walczyć o czystość własnej wizji wśród naporu cudzych obrazów, cudzych koncepcji, cudzych dzieł? Trzy „unistyczne” obrazy Pawlaka w krakowskim Pałacu Sztuki przeczą tak pesymistycznej postawie. To, co już widziane, zaciemnia wyobraźnię, odbiera wiarę w własne siły, paraliżuje instynkt twórczości. Ale przecież — jak pisze sam artysta — „wolność nigdy wyraźnie nie jest dana, chce być zdobywana i poddaje się tylko siłnym i odważnym, ryzykującym całego siebie”.

„Europa nieznana”. Wystawa z okazji Sympozjum KBWE na temat dziedzictwa kulturalnego. Kraków 1991. Pałac Sztuki TPSP — WKS Wawel. 22 maja—30 czerwca 1991.

## MAJOWY DANDY

Piotr Wojciechowski

Mozna już iść na korty bez obawy, że w śniegach i wichurze sportowe interludium przemieni się w himalajski ekstremizm, we wspomnienia gulgowe, w bombardowany zielonymi tenisowymi piłeczkami konwoj do Murmańska.

Mozna już nosić kapelusz słonkowy.

Mozna skorzystać z pochmurnego wotorku i nie pójść na korty. Może paść. Pospać dłużej, pójść do kawiarni „Rococo”. Z rakiety w pokrowcu, w spodniach z białej wełnianej flaneli, w koszuli z kołnierzem Słowackiego.

Czy jednak brać parasol? Parasol i rakiety?

I w takim razie — co ze słonkowym kapeluszem? Parasol i kapelusz można zostawić w szatni. Ale rakiety? Nigdy!

Rakiety postawić na foteliku *vis-à-vis*.

A kiedy wejdzie baron Rzepecki, uśmiechnąć się do niego dołem twarzy, ale nastroszonymi po miłoszowsku brwiami dać mu kategoryczny znak — żeby nie podchodził. Miejsce zajęte. Oczekuję kogoś. Ta mikroscenka jest obrotowym lustrem otwierającym się na korytarz, przez który wlewa się powódź konspiracyjnych skojarzeń. Kawiarnia, błyskawiczny znak brwiami — nie znamy się. Ocaleni z łap Ochrony,

gestapo, NKWD, ubecji. Zatkané to! Niech nic się nie wlewa prócz zapachu kasztanowego okwiatu tarמושzonego przez majową mżawkę.

Kawa i woda mineralna. Woda Perriet czy Evian?

Tylko Perriet. Evian ma cień kwasowatego smaku, metalicznego jakby. Tak się mówi, do chodzi przecież o co innego. Pękata i długoszysza butelka perrietowska kojarzy się z butelką szampana.

Spróbować kawę. Wyborna!

Pękają bąbelki lejące od dna szklanych z wodą. I w każdym jak dźwięk z butelki duch kogoś. Duchy tych, co odeszli na przelęcze z chmur, spektrum tych, co żyją, ale nieobecni. Do jedynych i drugich mruczało się „wyborna” po pierwszym łyku kawy Zatkané to! „Wyborna” — mówi się do rakiety w pokrowcu, do *Samotności Przemądrzej*. I pisze się wiersz na bibułkowej serwetce. Pisze się — czym? Czy można nosić złotego „parkera” w kieszeni białych flanelowych spodni? Niech kelner przyniesie papier listowy i długopis. A wiersz niech będzie piękny i o niczym. Niech będzie najpiękniejszym ziarnem piasku w klepsydrze, ziarnkiem, które wywoła spazm zachwyty nawet w tym szklanym gardziółku, na

chwile zatrzyma biegnące w dół drobiny piasku, lejące w górę bąbelki mineralnej.

Popatrzmy teraz, gdzie baron. Siedzi z młodzieżą maturalną, zdyszaną jeszcze po pisemnej maturze z matmy. On, niegdyś korepetytor elity, opowiada, jak należało rozwiązać, udowodnić jak, że *ktą* alfa równy pi wtedy i tylko wtedy gdy...

Wypisuje łańcuszki znaków na opakowaniach papierosów i czekolady, ze słomek do koktajli buduje przestrzenny model ostrostupa ściętego i wpisuje weń walec szklanki po piwie Dziewczetem oczy błyszczy jak gwiazdy, młodzieńcom szara substancja marszczy się na miarę przyszłych zadań, europejskiej integracji, pogoni za czołówką. A więc czas przywitać się z panem baronem.

— Czy dawno z Królestwa Szwecji? I wśród matematycznych znaków na stoliku ładuje wiersz. Łagodna gotobica gotowa wydziobać mrówki iksów, igreków, pierwiastków kwadratowych. Twój kołnier Słowackiego nastawia rogi do ataku.

— Ale jakże tam podejść — z rakieta? Albo zostawić ją — sama? W samotności, w oczekiwaniu na kogoś, w ciszy rozpryskujących się małych dźwięków?

# Strindberg i nadmiar autorytetów

Maria Wąs

**D**oświadczenia ostatnich inscenizacji Strindberga — warszawskiej *Panny Julii* i krakowskiego *Tańca śmierci* — nastawiają raczej sceptycznie wobec jeszcze jednej próby przywrócenia tego autora scenie. Dziś trudno grać Strindberga, bo i moralność nasza stała się bardziej pojemna — więcej grzechów zmieści, i język jakby spowszedniał, no i sam dramat stacji, kiedyś bardzo efektownie burzący logiczną ciągłość akcji w imię wewnętrznej logiki przeżyć bohatera, dziś stał się czymś absolutnie normalnym. Niemniej jednak tekst *Do Damaszku* kusi tajemnicą wewnętrznej przemiany bohatera, którego osobowość została rozpisana na postaci dramatu. Stanowi też wyzwanie tyleż godne podjęcia, co trudne. Okazało się, że w przypadku Krzysztofa Babickiego pokusa była silniejsza niż świadomość zagrożeń.

U Strindberga główny bohater, Nieznajomy zmagając się z samym sobą w poszukiwaniu wiary w Boga, wartości życia, wreszcie — samego siebie i zyskuje w końcu łaskę nawrócenia, choć waha się ją przyjąć. W spektaklu Babickiego droga Nieznajomego miała biec po kole, nie wyprowadzając go na prostą. Nie jest jednak pewne, czy reżyserowi udało się zachować jej wertykalny wymiar... Do głównych ról wybrał możliwie najlepszych, teoretycznie rzecz biorąc, aktorów. Nieznajomy, ten, który szuka i bluźni, a jego bluźnierstwo staje się pierwszym aktem wiary to Jan Nowicki. Pani — ciepła dojrzała, pełna kobiecość, która może obiecać bezpieczne przejście przez wszystkie zasadzki życia — to Anna Dymna.

Można oczywiście zapytać, czy pomysł takiej obsady nie był zbyt prosty, zbyt łatwy?

Ale oto już zza czarnej kurtyny pierwsze dźwięki muzyki — obsesyjny motyw mszy żałobnej — i zaraz scena się odslania. Pojawia się pierwsze podejście: „Inferno” czy „Kartoteka”? Okopconca czerwien odrapanych ścian dość natrętnie przywołuje obraz piekła ludzkiej egzystencji. Pokój zagracony jest przypadkowymi (w dużej mierze niepotrzebnymi, jak się niestety okazuje) sprzętami, jawnie nie zamieszkanym, przechodni; jedynym „oswojonym” miejscem wydaje się zabalaganiony nieco stół z maszyną do pisania i fotel przy nim. Tu przed chwilą mógł ktoś siedzieć; w popielnicze na proscenium tli się jeszcze papieros... Widać Stationendrama odbywać się będzie w obrębie tego pokoju. Na razie wchodzi Pani. Czekaj na tego, który ją tu — do siebie — wezwał. Po chwili przychodzi (wraca?) Nieznajomy. Zatrzymuje się jeszcze przed dużym lustrem w głębi i przeciera je. A więc — to teraz będzie się działo w lustrze, czy to potem, w drugim akcie, właśnie lustrzanym odbiciu pierwszego, kiedy samo lustro zostanie zasłonięte czarną chustą?... Nieznajomy zobaczył już Panią, rozwija się sytuacja w stylu: „pani przysłała do pana” czy, jak kto woli: „taka głupia to ja już nie jestem...”. No właśnie. Wśród premierowej widowni siedział Piotr Skrzynecki, po scenie chodził Jan Nowicki (kapelusz, znoszona marynarka, szalik), a może portret uniwersalnego kabolona? Pozornie trafna obsada została od razu na samym początku sprowadzona do absurdu. Rzetelna (choć trudno tu rozstrzygnąć, czy na pewno na miejscu) gra Dymnej zawisła w próżni, a Nowicki skupił się na rozdymaniu, za pomocą manierycznej intonacji, słów i tak już zniekształconych przestarzałym przekładem oraz na natrętnym epatowaniu swoją osobą. W gruncie rzeczy

ten początek rozgrywany na małych trickach quasi-erotycznych, traci kabaretem. Dopiero gdy zjawia się Zebrak (dziwna to skądinąd rola R. Lukowskiego, dosyć nijaka; ale to jemu narzeczcie udaje się wydobyć z Nowickiego tego osławionego, ale też niestety ogranego „szaleńca bożego”), powraca na moment nadzieja, że może da się jeszcze coś z tej sztuki ocalić. Ale to tylko moment. Wszystko bowiem zaczyna coraz bardziej skupiać się wokół książki Nieznajomego, a tym samym cały dramat staje się historyjką o pisarzu, który zaniemógł na twórczość. W ten sposób ładna skądinąd scena, kiedy Nieznajomy wyzywa Boga-mężczyznę rozumiejąc, iż skoro kiedyś człowiek upadł przez kobietę, teraz także posłużysz się nią może sprofanować Boga, została, niestety, dalej sprowadzona do sytuacji: „dałeś mi Boże talent, tylko trochę mały”. Książka wędruje z ręk do rąk, przetrucana demonstracyjnie, żeby widoczne było duże zdjęcie autora (a może to wspomnienie byłego aktora Mikołaja S.?). Tym bardziej, że Nieznajomy jest już niemal zupełnie Janem Nowickim, jeśli nie tym naprawdę prywatnym, to niewątpliwie tym cynicznym trochę realistą, jakiego znamy chociażby z wywiadów. Nie ustawiona rola zaczyna pasyżytować wprost na aktorze. O cynizm zaś tym łatwiej, że reżyser zaczyna repetycje z Witkacego (w scenie z Lekarem — Z. Józefczakiem): pseudodemoniczne eksperymenty nad wanienką pełną medycznych instrumentów i trupich członków. I o ile można zaryzykować twierdzenie, że nie byłoby Witkacego bez późnego Strindberga, o tyle trudno dociec, po co Strindbergowi Witkacy. Ale to jeszcze nie koniec rewelacji. Lekarz trzyma bowiem u siebie wariata o imieniu Cezar, które jest równocześnie jedynym imieniem-przeważaniem Nieznajomego i wokół którego toczyć się ma niejasna gra napięć. Jednak gdy tutaj pada imię Cezar, na scenie pojawia się Gucio. Niska to złośliwostka, ale jak można skomentować obsadzenie roli wariata — Cezara przez R. Jędrzejczyka, ubranego w granatowy kaftanik, krótkie spodnie i białe skarpetki, zważywszy oczywiście gabaryty wyżej wymienionego? Zresztą efekty kabaretowe dość regularnie pojawiają się w spektaklu niszcząca jedyną prawdziwie zagrana rolę: Pani — A. Dymnej. Reżyser wyraźnie szuka sposobów zdystansowania się wobec tekstu i znajduje je między innymi w krakowskiej „Piwnicy pod Baranami”, ostatnim „mamucie” moderny. Co zresztą nie byłoby najgorsze, bo sceny Nieznajomy — Matka (Nowicki i Zajacówna-Radwan) są interesująco zagrane, choć większa to zasługa wyuczucia i warsztatu aktorów zreszcie

łączących patos z ironią niż reżyserkiej pomysłowości. Aliści w scenie, kiedy Matka wysyła Nieznajomego „do Damaszku” ujawniła się jeszcze jedna miłość (czy kompleks?) reżysera: na scenę wjechało szpitalne łóżko... Chciałoby się zawołać: „Bóg się Swinarskiego, panie Babicki!” Jakby nie dość było znaków duchowej obecności zmarłego mistrza w ustawieniu na scenie foteli lotniczych (co skądinąd stanowiło dość wdzięczny zabieg, bo poza tym lopatologicznym kontekstem znaczą one tu także czas podróży, czas upływający, stan zawieszenia i oddalenia).

**T**a nekrofilia, która przeżarła Stary Teatr, do niedawna była pięknym sentymentem, tradycją, historią, ale ostatnio stała się upiorem straszącym widzów. Niestety, nie wszyscy Panowie Reżyserowie są Swinarskimi. On był jeden i genialny, dzisiaj zaś każdy cytując z jego przedstawień grozi zdemaskowaniem ograniczeń cytującego. Swinarski w „Wyzwoleniu”, do którego usiłował sięgnąć aluzją Babicki, wykorzystał wiedzę o epoce i biografii Wyspiańskiego, po czym utkał z tego misterną konstrukcję ironii, cynizmu i uczucia. Babickiemu, usiłującemu iść za mistrzem, udało się przy wykorzystaniu tekstu *Do Damaszku* zainscenizować mały niestety tylko fragment jednego z listów Strindberga, który, żeby było prościej, przytoczył w programie: *Wydaje mi się, że odżyłbym dar pisania dla teatru i ostatnio ukończyłem sztukę („Do Damaszku”). Odczuwam wdzięczność, że było mi to dane zrobić. I skutkiem tego dopuszczam także, że dar ten może mi być odjęty, jeśli nie będę go używał właściwie.*

Najwyraźniej ta przestroga umknęła uwadze reżysera, natomiast jemu nie udało się ująć (przynajmniej w tym przedstawieniu) przed zawartą w niej groźbą. W dziwny sposób zatracił on tu zmysł rozstrzygania, zdolność dokonywania wyborów — zarówno interpretacyjnych, jak i estetycznych i wpadł w pułapkę wszytkoizmu. Znalazł się pod urokiem zbyt wielu mistrzów, bo z jednej strony fascynowali go Strindberg, Witkacy, Swinarski, z drugiej — uległ tym, niewątpliwie świetnym, z którymi pracował, takimi jak Dymna czy Nowicki. Jak się okazuje, pośród różnych nieszczęść, jakie zna teatr, jest także niekontrolowana miłość reżysera do autorytetów.

Stary Teatr im. H. Modrzejewskiej: A. Strindberg, *Do Damaszku*. Reż. K. Babicki, scenografia: A. M. Rachel, muzyka: S. Radwan. Premiera: 24 III 1991.

## VARIA

**P**okojowa nagroda niemieckiego Związku Księgarzy przypadła w tym roku **GYÖRGY KONRADOVI**, pisarzowi węgierskiemu, obecnie prezesowi Międzynarodowego PEN Clubu. Konrad od lat siedemdziesiątych występował w obronie wolności obywatelskich na Węgrzech i głosił ideę niepodzielonej Europy. Tę samą nagrodę otrzymali poprzednio Władysław Bartoszewski, Karl Dedecius i Vaclav Havel.

\*

**W**kwartalniku literackim „Kresy” (1990/91 nr 4.—5.) Marek Zieliński pisze:

Mam odwrotne wrażenie od sugerowanego w pytaniu. Większość zjawisk, które ujawniają się od czasu do czasu na obszarze polskiej literatury, szybko są okrzywane jakąś trwałą, o wybitnych wartościach estetycznych nurty bądź dzieła artystyczne.

W mniejszym stopniu grozi nam niezauważenie, co wyolbrzymianie domniemyanych sukcesów. Polscy artyści, jeden w drugiego są wielcy, genialni, niepospolici, godni podziwu w Europie, a może na całym świecie. Każde wydanie polskiej książki w którymś z języków bardziej znanych niż polski, co zresztą nie hańbi — pod piórem etatowych panegirystów przybiera postać cudu nad Wisłą. Tym boleśniej są rozczarowania w trakcie pobytu za granicami. Mało kto wie, niewielu

styszało i to nawet nie o polskich dokonaniach w sztuce, ile o samej Polsce, kojarzonej dość dziwnie. Można to zrozumieć. Literatura danego kraju jest najczęściej, pomijając przypadki arcydzieł, które zdarzają się raz na kilkadziesiąt lat, odłaskiem znaczenia języka, kultury, społeczeństwa, a w gruncie rzeczy roli spełnionej przez państwo w historii. Znaczenie Polski jest niewielkie i w gruncie rzeczy cała nasza kultura, a przede wszystkim literatura są na peryferiach — kwalifikowane jako zjawisko marginesowe, uboczne dla światowej sztuki. Nie ma sensu się oburzać, gdyż takie są fakty, z których warto wyciągnąć wnioski. Dalsze podtrzymywanie fikcji polskiej obecności w kulturze europejskiej jest szkodliwe, bo budzi ironiczny śmiech i służy jako dowód megalomanii Polaków.

Mamy swoje skromne miejsce, do którego nie chcemy się przyznać, chociaż ułatwiłoby to porozumienie z innymi. Lepsza jest zgoda na swoją drugorzędność od nużącego dla postronnych powiewania sztandarem zasług i mistyfikacji literackich. Polskie dokonania ostatnich lat mają w znacznej mierze tego rodzaju charakter. Niewiele wnoszą do europejskich wartości literackich. Są zaledwie sprytnym kopiowaniem rynkowego sukcesu. Czym zresztą nie należy pogardzać, bo kryje się za nim znaczna praca i bystrość intelektualna tych, którzy umieją podpatrzeć dobry towar i potem wiedzą jak go wykonać, żeby dał się sprzedać. Nomina sunt odiosa. Jest ich nie-mało, co i dobrze.

## HISZPAŃSKIE NAGRODY LITERACKIE

**P**od koniec maja w Hiszpanii ogłoszono laureatów dorocznych nagród w dziedzinie prozy, esaju, poezji i historii, przyznawanych przez Ministerstwo Kultury.

Państwową Nagrodę w dziedzinie prozy otrzymał **MANUEL VÁZQUEZ MONTALBÁN** za powieść „Galindez”, która ukazała się w kwietniu ubiegłego roku. Sam autor określił ją jako rozprawę komparatystyczną na temat etyki różnych pokoleń. Akcja powieści toczy się wokół osoby baskijskiego polityka, Jesusa de Galindez, zamordowanego na Santo Domingo w 1956 roku. Vázquez Montalbán, urodzony w 1939 roku w Barcelonie, jest autorem prowadzącym swe poszukiwania literackie w wielu dziedzinach — to błyskotliwy dziennikarz, poeta, eseista i powieściopisarz.

Państwową Nagrodę w dziedzinie esaju otrzymał kataloński mediewista, **MARTI DE RIQUER**, za książkę „Aproximació al Tirant”, która jest ważnym wprowadzeniem do dogłębnej lektury katalońskiego dzieła autorstwa Joanota de Martrell pod tytułem „Tirant lo Blanc”, pochodzącego sprzed dokładnie pięciuset lat. „Aproximació” jest adresowana do tych, którzy chcą odczytać powieść oswojonej z realiami dotyczącymi jej powstawania, jak też atmosfery epoki i osobowości autora.

**N**agrodę Poetycka otrzymał **LUIS ALVAREZ PINER**, który zadebiutował w 1928 roku publikując swe wiersze na łamach czasopisma „Carmen”. W 1936 opublikował tom „Suite alucinada” (Suite olśniewająca), który zawierał wiersze napisane w latach 1927—1934. Od tamtego czasu ukazała się jedynie antologia z lat 1927—1988, pod tytułem „En un largo silencio” (W długiej ciszy), za którą Piner otrzymał tegoroczną nagrodę.

**N**agrodę w dziedzinie historii przyznano 75-letniemu **FELIPE RUIZ MARTIN**, za książkę „Pequeño capitalismo, gran capitalismo” (Mały kapitalizm, wielki kapitalizm), napisaną jeszcze w latach 60., która do tej pory ukazała się jedynie w niepełnym wydaniu we Francji.

**J**ury wyżej wymienionych nagród przedstawiły z kolei kandydatów do Państwowej Nagrody Literatury, przyznawanej przez hiszpańskie Ministerstwo Kultury za całokształt twórczości.

W tym roku otrzymał ją **MIGUEL DELIBES** (1920), pisarz, którego twórczość obejmuje ponad 40 pozycji, w tym powieści, eseje, opowiadania i sztuki teatralne. W Polsce ukazały się: „Pięć godzin z Mariem” — 1980, „Szczury” — 1983, „Niewinni święci” — 1988.

Najnowszą książką Delibesa jest „Mi vida al aire libre” (Moje życie na łonie natury), w której pisarz opowiada o swych związkach z naturą. Obecnie chce poświęcić się pisaniu pamiętników.

# NOWE ZMARTWIENIA

Teresa Walas

Parę lat temu w jednym z europejskich instytutów naukowych miał miejsce odczyt polskiego intelektualisty. Temat brzmiał niezwykle zachęcająco: Polacy i wartości. Stuchaczy nie było zbyt wielu (taki jest zwykły los odczytów w ekskluzywnych instytutach), ale reprezentowali różne nacje środkowo- i zachodnioeuropejskie. Prelegent powołał się na wstępnie na badania socjologiczne i spuścił na nas deszcz liczb oznaczających procenty, z których wynikało niezbicie, iż Polacy są narodem kochającym wartości wszelkiego rodzaju, głównie zaś wartości moralne. Większość badanych opowiadała się stanowczo za trzeźwością, uczciwością, prawdą, dobrem, wiernością małżeńską i nienaruszalnością cudzej własności. Mój sąsiad z lewej, zajmujący się na co dzień relatywizmem filozoficznym, nie wytrzymał i złożył mi deklarację na piśmie: „I love values very much, too”. Ja zaś z zapartym tchem czekałam na puentę, nie mając wątpliwości, że tak oto grunt sobie przygotowawszy, prelegent przejdzie brawurowo do opisu fałszywej świadomości narodowej. Oboje bowiem wiedzieliśmy dobrze, ilu naszych rodaków zatacza się na ulicy, przywłaszcza sobie dobra społeczne i prywatne, zdradza żony oraz ustawicznie mija się z prawdą. Alisł odczyt płynął wartko i gładko, wyrzucając na brzeg coraz to nowe chwalebne dla nas procenty, a poważne i łagodne wejście prelegenta odbierało nadzieję na suspens. I w istocie, niebawem nastąpiło podsumowanie raz jeszcze podkreślające zażyłość, w jakiej pozostają ze sobą Polacy i wartości. Prelegent skończył i wygładził postrzępione mocno brzozi maszynopisu, świadcząc, że nie my jedni zapoznaliśmy się z jego treścią. Skończył i czekał na pytania. Stuchacze jednak najwyraźniej nie kwapili się do dyskusji. Kwestionować bowiem tezę byłoby nietaktem, bardziej zaś zaokrąglić już się jej nie dało. W końcu wszakże jeden ze stuchaczy, Niemiec lub Austriak, odważył się zadać pytanie: Nie podważało ono, broń Boże, tezy głównej, lecz zmierzało do uzupełnienia obrazu. Stuchacz zapytał mianowicie: „Co Polacy myślą o przyszłości globu ziemskiego i jak przyczyniają się do tego, by utrzymać go w jakiejś takiej kondycji?” Po sali przeszedł łagodny szmer i oczy wszystkich zwróciły się na prelegenta. Ten uśmiechnął się wyrozumiale, jak doświadczony nauczyciel, któremu niesforni uczniowie zadają od lat te same podchwytliwe pytania i odpowiedział spokojnie: „Proszę pana, my mamy prawdziwe zmartwienia!”

Epizodzik ten utrwalił się w mojej pamięci, ilustruje bowiem w sposób dość przejrzysty interesującą, choć niewątpliwie ambiwalentną, cechę polskiej swia-

domości: jej mianowicie lekceważenie problemów wolnego świata. Faktem jest, że mieliśmy i mamy własne zmartwienia. Najczęściej w istocie dość poważne. Jak przeżyć sto dwadzieścia lat niewoli? Jak odzyskać wolność? Jak przetrzymać raj komunizmu? Jakim sposobem się z niego wydostać? Naród, który raz po raz padał ofiarą przemocy lub politycznych układów, miał prawo nauczyć się nieufności, patrzeć podejrzliwie na złotoustą demokrację i sceptycznie oceniać wrażliwość ich sumień. Łatwo też było wyrobić sobie poglądy, że ich problemy mają charakter zastępczy i służą pobudzaniu rozleniwionej dobrobytem wyobraźni. Człowiek, któremu kontrolowano pocztę, któremu donos mógł zniszczyć karierę i o którego losie decydował pierwszy sekretarz POP, czuł się całkowicie obojętny na nieszczęścia homoseksualistów, którym nie chciano przyznać prawa do zawierania formalnych związków małżeńskich. Ani pracującej na trzy zmiany kłaczce, ani zagonionej od świtu do nocy lekarce nie przychodziło do głowy palenie biustonoszy na znak zrzucenia jarzma, jakim jest męskie uprzedmiotawiające spojrzenie. Sama z przerażeniem łapałam się na całkowitym braku chęci zostania biskupem, a nawet zwykłym proboszczem, w czym amerykańskie feministki widziały dowód mego ostatecznego zniewolenia. Z politowaniem więc patrzyliśmy na lewicowców jeżdżących mercedesami, jaroszków, którzy mają pod dostatkiem mięsa i kiełbasy, miłośników ludzkości żyjących w pięknych domach ogrodzonych wysokim murem. Chętnie też nabieraliśmy przekonania, że prawdziwe wartości rodzą się z braku i uciemnienia, wszelki zaś nadmiar dóbr i swobód prowadzi do dewiacji i nadużyć. Co utwierdzało nas w poczuciu wyższości, znanym ludziom boleśnie przez los doświadczonym. Skoro już nie mogliśmy być bogaci i szczęśliwi, to przynajmniej czuliśmy się dojrzałsi i poważniejsi od innych.

Alisłi szybciej niż mogliśmy sądzić otworzy się przed nami wrota wolnego świata i z dnia na dzień staliśmy się na powrót jego częścią. Jednym z zadań, jakie czekają naszą zbiorową świadomość, jest pozbycie się nawyku lekceważenia problemów, które dreczą ludzi wolnych, nawet jeśli wydają się nam one mało poważne. Nie oznacza to rzecz jasna, akceptowania wszystkich zachodnich urojeń. Oznacza poszerzenie horyzontu wyobraźni i kręgu odpowiedzialności. Mimo fatalnego stanu naszego budownictwa mieszkaniowego, mimo recesji, bezrobocia i spadku realnego dochodu, będziemy musieli zacząć przejmować się losami globu. Nawet jeśli samym sobie wydamy się śmieszni.

## Witold Turdza odkrywa nieznaną arcydzieła

W zbiorach Muzeum Narodowego znajduje się, pochodząca z poł. XVII w. suknia, należąca niegdyś do skarbnikowej belzkiej Katarzyny z Borzobohatych Kupidzkiej. Podczas konserwacji sukni odpruto podszewkę stanika i znaleziono, zaszyty tam, zwitek papieru z wypisanym starannie wierszem, podpisanym inicjałami „J.A.M.” Kto mógł być autorem wiersza? Inicjały podpisy oraz kunsztowna forma utworu zdają się wyraźnie wskazywać Jana Andrzeja Morsztyna. Zresztą podobnych wierszy, kierowanych do Kasi, napisał on więcej. Do niedawna badacze sądzili, że ich adresatką jest Katarzyna Gordon of Huntly, żona poety. Jednakże miejsce przechowywania odnalezionego utworu wyraźnie temu przeczy. Kochliwy poeta zapewne niejednej Kasi oplatał serduszką rymami nim, pojawiając żonę, ustatkował się. Można zatem przypuścić, że utwór powstał wcześniej. Najprawdopodobniej w latach 1647–55, kiedy to słynna z piękności Kasia była jeszcze panną we fraucymerze królowej Ludwiki Marii, zaś J. A. Morsztyn — częstym tam gościem.

W „Dziejach obyczajów w dawnej Polsce” J. S. Bystronia czytamy, że uprawianie poezji było modną zabawą dworów szczególnie w XVII w. Anonimowe często utwory krążyły w odpisach a niektórzy miłośnicy literatury zbierali je w księgi. Zwano je różnie, np. „torba dworska” czy „silva rerum” (las rzeczy). Jak widać, jedna z gałązek tego lasu sięgnęła staniczka pięknej Katarzyny, znajdując w nim schowek najstosowniejszy. Szczęściem, także solidny, dzięki czemu dzisiaj możemy poznać poetyckie wyznanie J. A. Morsztyna.

### Do jednej panny

Sroższą od Kirki zdradnej, Kasiu miła,  
Boś mię nie ciała lecz dusze zbawiła.

Coś tym ubędzie, że chętlive oczy  
Pojrzą, gdzie drażnią dwoje strzeże płótno.  
Snadź, gdym ściśniony tęsknością okrutną  
Nie stoję o to, gdzie oko poskocezy.

Z twojej gładkości pochop boleść szczera  
Bierze więc i twarz przez nią mi blednieje  
I lubo wszytek jak Eina goreje.

Serce się kochać i darmo naptera,  
Gdy wspomnę na cię, to w sobie uknowam:  
Mogę-li czekać lepszej chwile snadnie  
I jako Dzeus do Ledy przypadnie  
Do jej się ręki przymknąć, co ją chowa.  
Gdy podle siedę o czymże wdy myślę  
Okrom, byś gęby Kasiu pozwoliła,  
Sam będąc, taka mnie ogarnia siła,  
Ze twoje imię po papierze kryślę.

Czymem zawinił, że gorę w płomieniu  
I próżno czekam ulgi w uciążeniu.

**DEKADA LITERACKA** — dwutygodnik kulturalny. Wydawca: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska”. Spółka z o.o. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Wacław Iwaniuk (Toronto, Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska, Lucyna Walas — redaktor techniczny. Dyżur redakcji: poniedziałki, środy, godz. 13–14, tel. 22-09-85. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skró- ISSN 0867-4094

## TEATRZYK RYSUNKOWY

...SKRECA  
MNIĘ  
W PIÓRNY  
SMIECH...



ALEKSANDRA PIENKA

## HYDE PARK czytelników

Publikujemy dziś jeden z wierszy dziewiętnastolatka z Tarnowa, GRZEGORZA SYPKA. Wiersz ten, choć niewolny od pewnej nieporadności, poruszył nas sposobem zadawania pytań o sprawy najważniejsze, prostotą i powagą refleksji —

Jesteśmy do siebie podobni.

Wszyscy.

Przypominają się słowa:

„Każdy może być Bogiem”.

Jak to?!

Nie rozumiem,

truchleję.

Jak to Bogiem?!

„Przecież możemy umierać z własnej woli” —

mówi coś w bezkresach.

Zastanawiam się nad prawdą.

Jak to Bogiem?!

Możemy niszczyć,

zadawać ból,

mordować,

uszcześliwiać.

Co wybieramy?

Jak to Bogiem?!

## Camera Obscura

Janusz Palusiński („Tygodnik Literacki” 18/19) pisze, że „Augusta Bęc-Walskiego, przedmiot prześmiewczych mini-komiksów” w „Przekroju” rysowała Ha-Ga (Hanna Gosławska). Nie spierając się o to, czy te dowcipy rysunkowe z podpisem trafnie nazwano „mini-komiksem”, trzeba sprostować: wykonywał je Charlie (Karol Ferster), potem Tadeusz Olszewski, a podpisy wymyślił członkowie zespołu redakcyjnego. (hm)

W cennej książce wspomnień o Władysławie Krzemińskim, która się właśnie ukazała, pisze Kazimierz Nowacki: „Zabawne, że powiedzonko «Nie od razu Kraków zbudowano» wcale nie jest przysłowiem. Wymyślił je wspólnie z Antonim Słonińskim Karol Estreicher (jun.) jako tytuł dla swoich wspomnień z dzieciństwa, pisanych podczas II wojny światowej w Londynie” (s. 62). Jakże to? Pierwszy paremiograf polski Salomon Rysiński przewraca się w grobie, bo już on w swoim zbiorze z r. 1618 zamieścił przysłowie: „Nie za dzień jeden Kraków zbudowano”, a później w różnych tekstach powtarza się ono wielokrotnie; wystarczy zajrzeć do „Księgi przysłów polskich”. (hm)

Niektórzy z kandydatów na członków przyszłej Zjednoczonej są niesubordynowani. Hiszpański świat kultury protestuje ostatnio przeciwko naciskom ze strony Rady Europy, która domaga się zniesienia obowiązku umieszczania literki „ñ” (czyt. ñ) na klawiaturze komputerów eksportowanych za Pireneje. Z pozoru błahostka — uderza, jak widać, w głębsze pokłady poczucia narodowej niezawisłości. Hispanojęzyczny Mario Vargas Llosa jest gotowy manifestować w obronie „tilde”, czyli wężyka nad „n”. „España” wygląda równie obco jak „złoty” czy „Walesa”. (np)

W radio RMF, którego słuchać niepodobna, poza retransmisjami BBC i Głosu Ameryki, usłyszeliśmy piosenkę, której refren brzmiał: „Radio młodych bandytów, radio młodych bandytów, my i wy na jednej falli”. Czyżby autoprezentacja? Piosimy wypowiadać się jednak tylko we własnym imieniu! Zaś poranny blok programowy „Ni w pięć ni w dziewięć” mógłby służyć za motto całej rozgłośni. (el)